ŻYCIE

Cena 9d

„Life"
Catholic Weekly

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO SPOŁECZNY

Rok II | Londyn, 11 kwietnia 1948. | Nr. 15/48

Magdalena ZAŁUSKA

Listy z Paryża

WŁOSKI FILM NEOREALISTYCZNY

W PONIEDZIAŁEK, 15 marca, odbył się w Instytucie katolickim bardzo ciekawy odczyt, ilustrowany pokazowym wyświetleniem świeżo nakręconego we Włoszech filmu p.t. „*Brama niebieska*," który w krótce ukaże się na ekranach paryskich.

Niestety prelegent i autor filmu, p. Diego Fabri (Włoch) był chory. Odczyt jego p.t. „La philosophie du réalisme spirituel de l'Ecole moderne dans le cinéma italien" („Filozofia duchowego realizmu współczesnej szkoły filmowej włoskiej") został wygłoszony przez zastępcę. Miał on służyć jako wstęp do filmu.

„*Duchowy realizm*": na pierwszy rzut oka te dwa słowa zdają się kłócić ze sobą. W pojęciu przeciętnego czytelnika to, co „duchowe" jest „jak gdyby" nierealne (czasami po prostu „nierealne"), gdyż „realizm" wyklucza perspektywy duchowe. To też przeciętny czytelnik zdumiałby się bardzo, gdyby mu powiedziano, że pokutuje w nim kompleks kartezjański: toż zaledwie słyszał o jakimś tam Kartezjuszu, skądżeż więc kompleks?

Otóż właśnie: pamiętajmy, że poglądy filozoficzne, z razu roztrząsane przez specjalistów, zwolna się wulgaryzują i wchodzą w obieg wówczas, gdy nieraz w świecie uczonych dawno już zostały przezwyciężone. By użyć przykładu drastycznego: żaden [illegible] się [illegible] wyznaje dziś materializmu Haeckla, który właśnie w ostatnich latach święcił triumfy wśród mas. Na szczeblu trochę wyższym, bardziej kulturalnym, pokutuje kartezjanizm w różnych odmianach.

To znaczy filozofia, rozczepiająca duszę i ciało, wprowadzająca rozwód między duszą i ciałem, głosząca dualizm, czyli radykalną niewspółmierność duszy i ciała, które współistnieją wprawdzie, ale nie bardzo wiadomo, jak. A więc duch swoją drogą, ciało swoją drogą. Sfera duchowa jako negacja materii. Sfera materialna jako sprzeczna z duchem. Materia i duch powaśnione na amen.

Nie! — odpowiada wielka chrześcijańska filozofia tradycyjna ze świętym Tomaszem na czele: materia i duch nie kłócą się ze sobą, ale się nawzajem dopełniają. Nie rozłączajcie, co Bóg połączył! Ciało i dusza stanowią jednię substancjalną, nierozdzielną, choć głową w tym małżeństwie jest niewątpliwie duch. „Habeas corpus," wołali najwięksi filozofowie: — „miej ciało"! Ale nie ciało luzem chodzące i, co gorzej, konspirujące przeciw duszy, ale ciało poddane duszy, współżyjące z nią miłośnie, służące jej wiernie, dające się jej przeduchowić, wyprzeźroczyć i prześwietlić. Ciało to wielka i święta rzecz, wola filozofia chrześcijańska, toż Bóg je przyoblekł! Materia to wspaniała tajemnica: toż Bóg ją stworzył!

Wy chcielibyście, kartezjanie nieświadomi, przetłumaczyć byt na jasne idee, zamknąć go, jak w więzieniu, w [illegible] ideach, gdy byt [illegible] [illegible] dziej tajemniczy, bardziej *realny* niż wasze fantazje idealne. Spójrzcie wokół siebie: skąd tyle nieszczęść, jak nie stąd, że zamiast brać rzeczywistość, naturę ludzką tak, jaką jest, jaką stworzył ją Bóg, człowiek chciał ją „przerobić" i bawi się w stwórcę? Czyż nie widzicie, ile panoszy się wokół was grzechów przeciw naturze? Ile zbrodni obrazy majestatu *człowieka*, który jest nie tylko ciałem, ale *także* duszą, nie tylko duszą, ale *także* ciałem, nie tylko jednostką, „której wszystko wolno" jak głosi liberalizm, nie tylko „funkcją społeczną," jak chciałby kolektywizm? Ja jedna widzę człowieka takim, jakim jest, szanuję rzeczywistość taką, jaką jest — powiada filozofia chrześcijańska — i dlatego pretenduje do nazwy duchowego realizmu, choć jest to potrosze coś jak masło maślane, bo realizm człowieczy *musi* być duchowy, tak jak *musi* być cielesny na to, żeby był...

Myśli powyższe wraz z prozopopeją nie są bynajmniej streszczeniem odczytu pana Fabri, lecz uwagami na marginesie i próbą wyłuskania motoru twórczego, który sprowokował i prowadzi z triumfu w triumf szkołę filmową, jaką on reprezentuje. Jeżeli bowiem wszystkie muzy pretendują do realizmu, to chyba najbardziej najmłodsza z nich, dziesiąta.

Czymżeż jest bowiem realizm w sztuce, jak nie tłumaczeniem ducha na materię? Jak nie kształtowaniem takich form materialnych, które by prześwietlały wartości duchowe, niby alabaster — słońce? A więc nie sztuka „[illegible]twiona," która by [illegible] [illegible] to pokusa „budującej" literatury, ale sztuka poddana bezwzględnie prawom wewnętrznej karności wobec tego co jest, a więc wobec materii będącej symbolem wartości duchowych, znakiem widzialnym rzeczywistości niewidzialnej, którą zawiera, prześwietla i oznacza. A zatem — nie jakieś tanie moralizatorstwo, lecz pokora wobec rzeczywistości i ufność wobec rzeczywistości; terminowanie w szkole stworzenia nie zaś „odtwarzanie" świata po swojemu (jak robią... idealiści).

Ze wszystkich sztuk kino mobilizuje najwięcej środków materialnych dla wyrażenia treści duchowych. Realizm w tej dziedzinie polega więc na takim doborze i na takiej synchronizacji środków materialnych, żeby same przez się „tłumaczyły" duszę: film „realistyczny" to „dusza w ruchu," dusza, która wstępuje wzwyż lub zstępuje w dół niewidoczna a jednak namacalna poprzez jedynie trafny, doskonale dobrany materialny kształt.

Zdaniem prelegenta naczelną zasadą realizatorów owego filmu musi być „pokora wobec tego, co przedstawiają." Trzy elementy wchodzą w rachubę: a) techniczny — w przeciwieństwie do dawnych metod przedstawicieli szkoły neorealistycznej: „piszą wprost na taśmie, zamiast na papierze," unikając w ten sposób ryzykownych przeniesień i niebezpiecznych niespodzianek związanych z *przeniesieniem* myśli autora z papieru na taśmę; b) psychologiczny: tak koncentrują fakty, żeby mówiły same przez się, „biorąc" widza nie banałem ani morałem, lecz kwintesencją prawdy ludzkiej; c) filozoficzny: jakkolwiek dziwnym to mogłoby się wydawać, nie jest rzeczą obojętną dla pionierów nowej szkoły, czy zetknęli się z metafizyką; choćby poto, żeby wyłuskać kanon piękna dla nowej sztuki, skupiającej jak żadna inna najróżnolitsze środki ekspresji. Czymżeż bowiem jest Piękno, jak nie „kompozycją materialną, implikującą jednię duchową?" Im bardziej film ujednia ideę wielorakich wrażeń, tym lepiej spełnia swoją misję. Tu nie chodzi o pasjonującą intrygę, lecz o wymowę rzeczywistości ludzkiej, prawdy ludzkiej, życia we *wszystkich* jego wymiarach. Film neorealistyczny usiłuje przezwyciężyć płaską dwuwymiarowość ekranu, redukującego człowieka do serii przeżyć i wrażeń: w scenach wybornie dobranych szuka wymiaru w głąb, doskonałą grą aktorów prowokuje duszę.

Film „*Brama niebieska*" jest pierwszorzędną ilustracją założeń, jakie stawiają sobie realizatorzy. Na pierwszy rzut oka uderza brak fabuły. Nie ma jednej intrygi, jest ich aż cztery, na pozór niepowiązanych. Bohaterem jest pociąg chorych, jadących do Lourdes. A więc nie poszczególni chorzy, ale zespół chorych, których na parę dni i na parę nocy skupił wspólny cel. Jakżeśmy wdzięczni panu Fabri, że nam oszczędził tak groźnie rozpanoszonych w pobożnej literaturze ckliwie dewocyjnych elementów! Kto widział prawdziwą pielgrzymkę, ten wie, że nie biorą w niej udziału sami święci, że na ogół świętych jest mało. Jak Wergili Dantego po piekle, tak autor oprowadza nas dyskretnie wpośród tej nędzy nagromadzonej. Fizycznej. Ale również duchowej. Poznajemy kolejno tego chłopca sparaliżowanego, o prześlicznie wyrazistej twarzy, tę staruszkę pogodną, tego pianistę zrozpaczonego, który „przypadkiem" między pasażerów się zaplątał (stracił władzę w swoich ongiś cudownych rękach, ma rewolwer w kieszeni, nosi się z myślą [illegible] rywał oślepił...

Coraz to nasz Wergili zapuszcza sondę w głąb, odsłania czyjeś życie, czyjeś myśli, czyjeś wspomnienia... Myliłby się ten, ktoby widział w tych luźnych motywach dygresje. Bohaterem jest grupa i grupa ta żyje i życie poszczególnych osób nie jest bynajmniej obojętne dla całości. Łączy ich wspólnota doli, lecz łączy ich także coś więcej. Mistrzowskim rekordem realizatora jest unaocznienie innej spójni, w głąb: *świętych obcowania*. Tych ludzi przypadkiem zebranych w pociągu zaczynają łączyć niewidzialne nici. Nie widzimy, ale wiemy, że jedni modlą się za drugich (jak ta śliczna pielęgniarka o świetlistych, południowych oczach za zrozpaczonego pianistę). Nikt nie moralizuje, nikt nikogo nie nawraca, lecz klimat wspólnej, żarliwej intencji działa jak gdyby podskórnie. Ludzie to tylko, nie święci, ale ludzie dobrej woli.

Uderza oszczędność technicznych środków, jak gdyby pewna rezerwa w niedomówieniach. Kto zna technikę filmową, ten wie, że autorzy zrezygnowali świadomie z wielu łatwych trików — i że trzeba dużej artystycznej ascezy, by nie dać się ponieść pokusom sensacji. Ten umiar uderza zwłaszcza w scenach ostatnich, po przyjeździe do Lourdes. Wchodzi w grę nowy partner, zaledwie przeczuwany dotąd: Monstracja. Ubogi aktor i niemy, lecz najważniejszy. Ku niemu oto zbiegają się strzeliście wszystkie te zbolałe, pogubione, samotne serca. Wołają o cud, lecz cud się już stał, widzimy go, dotykamy, wiemy... Najczystszym triumfem realizatorów jest fakt, że widzowie filmu nie dziwią się nawet i nie sarkają na widok tak niewielu uzdrowień. Wszak wiedzą, w tej oto chwili, że nie o namacalne uzdrowienia chodzi. I zrozpaczony pianista, który chyłkiem składał, jako wotum niepotrzebne już, rewolwer, większe robi wrażenie, niż uzdrowiona staruszka. Pan Fabri osiągął cel i sprawdzian każdej wielkiej sztuki dramatycznej: ową katharsis arystotelesową, która budzi w widzach tajemniczą radość, roztulając niejako skrzydła duszy.

Instytut „Pro Deo" może być dumny z nowego filmu. Jako osiągnięcie

DOKOŃCZENIE NA STRONIE 2



Poznań, Ostrów Tumski: Psalteria i kościółek N. Maryi Panny

Zwracamy uwagę na artykuł, zamieszczony w poprzednim numerze Życia p.t. „Średniowiecze, jako wzór ustroju społeczno-gospodarczego."

REDAKCJA

St. GRYZIEWICZ

ROZPĘTANE SIŁY

W POPRZEDNIM artykule starałem się zwrócić uwagę na okoliczność, że średniowieczny ustrój społeczno-gospodarczy był ustrojem niewykończonym, co osłabia możliwości korzystania z niego, jako wzoru. Następnie zaszły zbyt gruntowne przemiany strukturalne pomiędzy okresem średniowiecza, a czasami współczesnymi, by ustrój, który wówczas — w ograniczonym zakresie życia miast — zdał swój egzamin, mógł być przydatny dzisiaj. Formy ustrojowe muszą odpowiadać charakterowi struktury społeczno-gospodarczej. Natomiast nadal są żywe i aktualne średniowieczne *idee przewodnie*. Tylko dla tych idei należy znaleźć nowe formy ustrojowe.

System średniowieczny był realizowany w warunkach ustabilizowanych stosunków społeczno-gospodarczych oraz opierał się na pewnej koncepcji prymatu moralności chrześcijańskiej wobec celów człowieka w dziedzinie gospodarowania (te cele nie były celami samymi w sobie). System średniowieczny załamał się w rezultacie zaniku stabilizacji warunków społeczno-gospodarczych oraz w wyniku zmian światopoglądowych człowieka, głównie w kierunku rozdziału pomiędzy zasadami moralności a celami gospodarowania. Pragnąłbym obecnie zwrócić uwagę na pierwszą okoliczność, a mianowicie na zanik stabilizacji stosunków.

Porządek średniowieczny w dziedzinie produkcji i wymiany był realizowany przy względnie ustabilizowanej ludności. Można by dodać, że mógł on być realizowany przy względnie nielicznej ludności, a to z uwagi na to, iż sięgał do podstaw i całego zachowania się człowieka i nie ograniczał się do powierzchownego oraz fragmentarycznego normowania. Człowiek był niepodzielną całością, o ile chodzi o wymagania, jakie stawiała mu moralność chrześcijańska. Żądała ona gruntownego przerobienia człowieka i bezwzględnej oraz całkowitej poprawności w jego stosunkach z innymi. Duża [illegible] jasna — bardzo poważną przeszkodą precyzji wychowania i kontroli wyników.

Wprawdzie wzrost ludności w XVI i XVII-ym stuleciu był bardzo niewielki w stosunku do tego wzrostu ludności, który zaczął występować od połowy XVIII-go wieku, a zwłaszcza miał miejsce w XIX-ym i XX-ym wieku, ale był już dostatecznie poważny z punktu widzenia zwichnięcia tej równowagi ludnościowej, jaka istniała w średniowieczu. Wystarczyło więc już stosunkowo nieznaczne zaakcentowanie dynamiki populacyjnej, by średniowieczny system życia społeczno-gospodarczego miast przestał być systemem działającym z dotychczasową sprawnością. Najlepszym tego przykładem było zamykanie się cechów przed dopływem elementu nowego — ograniczenia, jakie w tej dziedzinie zaczęto robić. Okazało się, że system średniowieczny nie był przystosowany do dynamiki społeczno-gospodarczej. Na tym tle zaczął wynaturzać się, stawał się środkiem zapewnienia praw nabytych i sytuacji monopolowych, nie stwarzał korzystnych ram dla łagodzenia procesów wzmagającego się nacisku ludnościowego na podstawy materialne gospodarki, a więc nie dawał możności dostatecznie szybkiej kumulacji kapitału wytwórczego.

Z odkryciami zamorskimi i rozwojem handlu wystąpiły pierwsze objawy tego, co w XIX-ym stuleciu nazwano zapanowaniem przestrzeni nad środowiskiem. W tych warunkach organizacja średniowieczna straciła możliwości pełnej kontroli życia społeczno-gospodarczego miast, a w konsekwencji straciła dotychczasowe swoje możliwości wychowawcze. Do środowiska średniowiecznego zaczęły wciskać się nowe obyczaje, została złamana izolacja, która była tak pomocna w utrzymaniu czystości obyczaju i skuteczności metod wychowawczych.

Napływ złota i srebra zwichnął stabilizację cen. Realizacja zasad słusznej ceny i słusznej płacy — które to zasady wiązały średniowieczny system produkcji i wymiany — stała się nadal bardzo trudna, a z czasem wręcz niemożliwa.

Jednym słowem, społeczeństwo i gospodarka stawały się otwarte, środki reglamentacji stawały się coraz mniej doskonałe, niewspółmierne do zakresu przestrzennego nowej gospodarki i do jej charakteru jakościowego, system średniowieczny tracił swoją siłę asymilacyjną.

Na merkantylizm dobrze jest spojrzeć, jako na system przejściowy, różnorodny, niewykończony, pełen niekonsekwencji i sprzeczności. Takie właśnie spojrzenie ułatwia lepsze zauważenie strony defenzywnej merkantylizmu. Niewątpliwie, istniały pewne idee przewodnie merkantylizmu, ale — powiedziałbym — były one dość powierzchowne. Jednym ze zjawisk ważniejszych w epoce merkantylizmu było poszukiwanie rozwiązania problemu okiełznania sił dynamiki społeczno-gospodarczej, które przychodziły do głosu. Tak poszukiwano rozwiązania tego problemu przez trzy stulecia. Z tego punktu widzenia jest niezmiernie interesująca „Utopia" Tomasza More, na którą zwraca się przeważnie uwagę, jako na koncepcję rozwiązania, a nie jako na wyraz przerażenia rozpętaniem się sił dynamiki społeczno-gospodarczej.

Już bardzo wcześnie w epoce merkantylizmu występują zwątpienia czy da się okiełznać siły dynamiki, które narastają. Wreszcie, z czasem zaczyna dominować przekonanie, że merkantylizm nie rozwiązał i nie rozwiąże tego problemu. Zaczyna dojrzewać decyzja powierzenia sprawy [illegible] ładu społeczno-gos[illegible] czego działaniu spontanicznych regulatorów. Reglamentacja, obejmująca coraz większe ilości ludzi, szeroki zakres przestrzenny i coraz większą różnorodność treści życia społeczno-gospodarczego, musi być co najmniej reglamentacją bardzo krępującą wolności ludzi. A czy w ogóle może być ona skuteczna z punktu widzenia śmiało postawionych celów?

Rozstrzygnięcie wypadło, jak wiadomo, na korzyść spontanicznego porządku. Pełne przeobrażenie dokonało się nie wcześniej, jak dopiero w połowie XIX-go stulecia. Porządek ten posiadał swoją podbudowę światopoglądową, o której nie będę wspominał. Ten układ stosunków, który był jak najbardziej zbliżony do schematu liberalnego, trwał zaledwie lat kilkadziesiąt. Był to właściwy okres życia liberalizmu: lata 1860—1880, a w najlepszym razie do roku 1890. W tym okresie wolna gra sił była skuteczna, zarówno z punktu widzenia spontanicznego ładu, jak i z punktu widzenia rozwoju kultury materialnej. Nie można jednak mówić o liberaliźmie przed tym, ani potem. Potem dokonał się nawrót do poszukiwań nowych możliwości reglamentacji. Te poszukiwania zostały intensywnie podjęte w końcu XIX-ego stulecia, znacznie przed pierwszą Wojną Światową, wówczas jeszcze, gdy system kapitalistyczny nie był wcale zagrożony.

Nasuwa się pytanie, dlaczego liberalizm ekonomiczny w tym bardzo krótkim okresie swego żywota był systemem „funkcjonującym?" Nie mam możności wchodzenia w to zagadnienie. Pragnę jedynie wspomnieć, że dziś wydaje się niemal nieprawdopodobna możliwość istnienia okresu tego spontanicznego porządku, nawet tak krótkiego okresu. Wydaje się nieprawdopodobna na tle całej historii stosunków społeczno-gospodarczych — zawsze stosunków reglamentowanych. Wydaje się nieprawdopodobna na tle teoretycznej analizy prawdopodobieństwa ładu spontanicz[illegible]. Żywot liberalizmu był zapewne w znacznej mierze rezultatem sugestii mitu.

Z punktu widzenia naszego tematu powinno nas zainteresować to nowe doświadczenie: historia liberalizmu jest historią fiaska układu stosunków, opartego na wolnej grze sił. Doświadczenie historyczne zostało więc wzbogacone. Przejście do liberalizmu dokonało się z przeświadczeniem, że reglamentacja o szerszym zasięgu i głębszym działaniu jest niemożliwa bez znacznego ograniczenia wolności człowieka, a ponadto jest ona mało skuteczna z punktu widzenia wielu problemów gospodarki. Liberalizm dowiódł, że nie można jednak obyć się bez reglamentacji. Wydawało się więc, że możliwe i wskazane są jedynie systemy mieszane.

Jeśli zatrzymamy się na tym właśnie wniosku, nie odwołując się do doświadczeń świeższych, to z punktu widzenia myśli katolickiej powinny nasuwać się dwa zagadnienia: (1) po pierwsze, jaki powinien być wyraz w reglamentacji stosunków społeczno-gospodarczych zasad moralności chrześcijańskiej, (2) po drugie, jaki powinien być człowiek i to zarówno ten, któremu będzie powierzona reglamentacja, jak i ten, któremu będzie dozwolona pewna swoboda zachowania się w życiu społeczno-gospodarczym. Zresztą, te dwa zagadnienia można sprowadzić tylko do problemu człowieka. Nie zapominajmy, że od XVI-go stulecia człowiek jest coraz intensywniej wychowywany w poglądach materialistycznych, a w XIX-ym i XX-ym stuleciu przy dominującym wpływie materializmu. Mam głównie na myśli jego postępowanie w sprawach gospodarczych. Stąd, należy przede wszystkim właściwie ustawić stosunek człowieka do spraw społeczno-gospodarczych — wywalczyć w tym stosunku właściwe miejsce dla zasad moralnych. Trzeba uaktywnić człowieka moralnie w dziedzinie życia społeczno-gospodarczego.

ST. GRYZIEWICZ

Zygmunt ZAKRZEWSKI

KILKA SŁÓW O KRUSZWICY

W ubiegłym roku ukazała się bardzo cenna i zajmująca książka, wydana staraniem Kurii Metropolitalnej w Gnieźnie, celem uczczenia 950-tej rocznicy męczeństwa Św. Wojciecha. Stoi ona na wysokim poziomie naukowym. Wszelkie opisy wydarzeń, a gdy tego zachodzi potrzeba, także i zabytków oparte są na źródłach historycznych, względnie aktach urzędowych. Tu uzupełnienia są niepotrzebne, zważywszy, że materiał dowodowy został w pełni wyzyskany. Nieco inaczej przedstawia się sprawa, gdy chodzi o wykopaliska, których opisem zajął się Dr W. Hensel w swej rozprawie „Najdawniejsze dzieje Gniezna w świetle wykopalisk," umieszczonej w tejże książce.

O niejednym można by z nim podyskutować. Ograniczę się tylko do sprostowania dwóch jego twierdzeń dotyczących Kruszwicy, podając kilka szczegółów o jej pradawnych dziejach.

W pracy swej (na str. 213 odsyłacz**) zaznacza autor, „że nie ma materialnego uzasadnienia na twierdzenie, jakoby Kruszwica była starszym od Gniezna ośrodkiem" i zaraz potem „Również należy z całą konsekwencją przeciwstawić się poglądowi prof. Kowaleńki, że teren od Kruszwicy po środkową Wartę stał się kolebką państwa nie z przypadkowych okoliczności, ale z warunków rozwoju zaludnienia i danych fizjograficznych." — Jakże więc przedstawia się sprawa w rzeczywistości? Otóż właśnie zabytki i wykopaliska wykazują bardzo wyraźnie, że Kruszwica była już conajmniej w VIII w. przed Chr. wcale okazałym i znacznym osiedlem, czym Gniezno mówiąc ostrożnie, dopiero 1000 lat później się stało. Zapoznajmy się teraz z tym materiałem dowodowym.

U stóp Myszej Wieży (resztki zamku zbudowanego w XIV w.) rozpoczyna się w kierunku południowym półwysep wchodzący daleko w Gopło — nazywa się obecnie „Ostrów Rzempowski." Nawiasem mówiąc przybrał on dzisiejszy wygląd po obniżeniu się wód, które spowodowane zostało melioracją przepływającej przez jezioro Noteci. Do ostatnich czasów uważano go za naturalną formację geologiczną i dopiero przeprowadzone na nim w 1923 r. badania systematyczne stwierdziły, że Ostrów jest grodziskiem łużyckim i do tego wzniesionym na sztucznej wyspie. Wyspa powstała w ten sposób, że na mieliźnie zrobiono ogrodzenie owalne składające się z pali i ściętych drzew, które następnie ziemią wypełniono. Na tej podstawie usypano potem gród. Co do wieku nie może zachodzić najmniejsza wątpliwość. Na całym obszarze występują w dolnych warstwach ogromne ilości odłamków od naczyń łużyckich. Poza tym odkryto w południowej części grodziska resztki chaty, ciężarki gliniane od warsztatu tkackiego i bronzy, które z tego samego okresu pochodzą. Wszystko to razem wziąwszy, oraz brak zupełny żelaza wykazuje, że nie powstał on później, jak pod koniec VIII-go wieku przed Chr.

Kruszwica leży nad odwiecznym rzymskim szlakiem handlowym, który poprzez Bramę Morawską wiódł do Kalisza, potem wzdłuż Prosny, Noteci i Gopła dochodził do Inowrocława. Tu się rozdzielał. Jedna odnoga prowadziła przez Żnin i Czarnków do Odry, druga nad Wisłą, do jej ujścia. Szczególnie w pierwszych wiekach po Chr. ruch na niej był ożywiony. Niewątpliwie Kruszwica ze swym grodem jako miejsce łatwego zbytu dla przywiezionych przez handlarzy towarów, musiała brać w tych transakcjach czynny udział. Potwierdzają to znalezione kilkakrotnie w pobliżu Myszej Wieży monety rzymskie z bronzu i srebra (ces. Antoninus Pius — II w. po Chr.), oraz moneta złota (ces. Maximus, początek IV w. po Chr.) wykopana w sąsiedniej wsi „Polanowice." W ogóle nie ma prawie nad Gopłem wsi, któraby nie dostarczyła tego rodzaju zabytków. Jako rzecz dość ciekawą przytoczę, że pewien gospodarz zamieszkały w wsi „Złotowo," oddalonej o kilka km. od Kruszwicy, wyzbierał z piasku, tuż nad brzegiem jeziora, 6 monet złotych, tak zwanych aureusów, w tym jeden ces. Alexandra Severa (III w. po Chr.).

Mniejwięcej w V w. po Chr. przybiera Ostrów Rzempowski nową szatę. Wprawdzie jego władcy należą do tego samego szczepu słowiańskiego, co ich poprzednicy, wszelako posiadają odmienną kulturę. Zmienił się niejeden dawny obyczaj (zmarłych nie pali się już na stosie, tylko składa się do ziemi), przyswojono też sobie niejedną zdobycz techniczną w rzemiosłach, a przede wszystkim w garncarstwie, które u nas tak wybitnie nadchodzący nowy okres wczesnohistoryczny charakteryzuje. Na grodzisku uwydatnia się zmiana w ten sposób, że na całym jego wewnętrznym obszarze górna warstwa ziemi do głębokości 50—60 cm. zawiera tylko ceramikę grodziskową, czyli odłamki od naczyń toczonych na krążku garncarskim — dopiero niżej występuje kultura łużycka.

Można postawić sobie pytanie, jak przedstawiała się sprawa osiedlenia w okresie łużyckim — czy prócz zaludnionego Ostrowa Rzempowskiego istniała gdzieś w pobliżu jakowa osada. Na to odpowiedzieć można bez wahania potakująco.

Teren, na którym stoi Mysza Wieża, oraz przylegający doń dość znaczny obszar ziemi otoczony był naówczas z trzech stron wodami Gopła — czwartą, zachodnią, zamykało bagno. Tu na tej mało dostępnej przestrzeni stanęły pierwsze chaty późniejszej Kruszwicy. Liczne odłamki od naczyń łużyckich rozsiane na półku dochodzącym do ruin są tego przekonywującym dowodem. Z biegiem wieków, w każdym razie już w okresie wczesnohistorycznym rozszerza się osada według

DOKOŃCZENIE OBOK

przewyższa on „Imć Wincentego." Gdyż tam gra wielki aktor — tu cały zespół pierwszorzędnej miary. Pierre Fresnay przytłacza partnerów, gdy tu jedni drugich uwydatniają. Varietas in unitate, unitas in varietate*): takie mogłoby być hasło nowej szkoły filmowej...

MAGDALENA ZAŁUSKA

*) *„Wielość w jedności, jedność w wielości."*

Piotr KMITA

REZUREKCJA

(DOKOŃCZENIE)

KSIĄDZ patrzał nań uważnie: — Pewnie myślisz sobie: to jakiś łapiduch, co to na ludzi dybie. Nie, synku, zanadto ludzką wolność szanuję. Przydam ci się na coś, dobrze, nie przydam, również dobrze. Pan Bóg mnie nie potrzebuje, starego grata. Ale widziałem, że ci ciężko, a i mnie dzisiaj troszeczkę ciężko. Tak pomyślałem sobie: pewnie się dogadamy.

— Ksiądz z daleka? — zapytał Piotr, byle coś rzec i zwekslować rozmowę na tor obojętny.

— Z Grodna, serdeńko. Jestem prefektem. Mam stu dwudziestu basałyków, co mi żyć nie dają. Skorzystałem z ferii, żeby przyjechać do Warszawy, bo miałem interes. A ty skąd rodem?

— Z Sandomierskiego, a właściwie z nikąd. Nie mam domu.

Wyznanie to wymknęło mu się mimowoli i natychmiast go pożałował. Ksiądz jakby nie słyszał. Postękując z lekka wstał, wyjął z walizki omszałą butelczynę, postawił na stole dwie szklanki, nalał: —

— Napij się serdeńko, dobre. Robaki zabija.

Piotr wypił duszkiem, z goła nie jak znawca. Rozkleił mu się nagle język. Słowa, długo tamowane, bluznęły strugą:

— Ech, co tam: zabija! Są takie robaki, na które nie ma żadnej rady. Za życia toczą. Są rany, których wyleczyć nie sposób. Morduje się człowiek, próbuje latami, modli się — i nic. Na zewnątrz nie widać, ale gdyby ktoś wejrzał w duszę, mój Boże!

— W każdej duszy są rany. Tylko jedni o tym wiedzą, drudzy nie. A wiesz ty, synku, jaka na nie dryakiew? Jedyna? Co to leczy i zabliźnia?

— Nie wiem.

— Miłość, synku. Nieraz ja tak sobie myślę: gdybyż ludzie wiedzieli! Ale oni nie chcą wiedzieć. Choć niby to chrześcijanie. A przecież, wiadomo, wedle miłości będziem sądzeni. Piekło,... co jest piekło? To takie miejsce skąd miłość wygnano. Własnowolnie. Czyż może być coś gorszego nad niemoc kochania? Toż dla miłości jesteśmy stworzeni.

Piotr parsknął złym śmiechem: — Ładnie to brzmi w teorii, ale w praktyce? Gdzie ksiądz widzi miłość? Światem rządzi egoizm, człowiek człowiekowi jest wilkiem. Nawet zachwalana miłość macierzyńska... Co tu dużo gadać! Każdy szuka siebie, dogadza sobie.

— Szuka siebie i za karę znajduje tylko siebie. Egoizm, synku, to jak więzienie, w którym ludzie samotnie mrą. Ale miłość, uważasz, ta prawdziwa, miłość nie jest z nas. Człowiek krzyża by nie wymyślił! I nawet dzisiaj, gdy wiadomo, że był, uwierzyć mu trudno, bo serce ma za ciasne. Rozszerzyć serce ludzkie może tylko Bóg.

— Więc czemu nie rozszerza? — rzucił Piotr zajadle — więc czemu zostawia nas samym sobie, skoro wszechmocny? Ot, wyznam księdzu: nie od dziś mam żal do Boga. Bo Bóg mnie skrzywdził, choć Mu nic nie zawiniłem. Sponiewierał moją miłość, moją wiarę... A teraz co? Zapóźno!

— Póki życia, nigdy nie zapóźno, synku. Wypij jeszcze, dobrze ci zrobi. A Pana Boga nie wiń! Dając nam wolność, sam niejako związał sobie ręce. Nie z Niego jest zło, choć obraca je w dobro...

— Ładna filozofia! — żachnął się Piotr. — Gdzie ksiądz widzi, żeby dobro wynikało ze zła? Przeciwnie, zło rodzi nowe zło, i tak w kółko i tak wciąż.

— A ty kto jesteś, synku, żebyś sądził Boga? A o stworzeniu jego co ty wiesz? O duszy ludzkiej? Od trzydziestu lat ja słucham spowiedzi, wiesz co sobie myślę? że grzechy ludzkie to nic ciekawego; wciąż to samo jedno błoto. I pomyśleć, że są ludzie, którzy myślą, że słuchamy sensacji! Dziesięć przykazań, siedem grzechów głównych, łatwy rejestr. W grzechu ludzie są tacy do siebie podobni! Wykąp sotnie w błocie, kubek w kubek będą jednacy. A jak ich wymyjesz, dopiero zobaczysz, że każdy jest inny. Tylko dobro daje człowiekowi ludzką twarz, czyni zeń osobę. Zło glajchszaltuje... Otóż, widzisz, grzechy to nic. To jak babranie się w błocie. Ale widzieć, jak łaska toto zdrapuje, chędoży, jak z błota zaczyna wyzierać oblicze na podobieństwo Boże stworzone, jak rodzi się człowiek, ot radość, ot szczęście! Ale Pan Bóg, uważasz, dowcipny. Nieraz jedno zło ruguje drugim złem, jak klin klinem. Takie zło, o którym nie wiesz albo nie chcesz wiedzieć, innym sensacyjnym, co to obuchem w łeb zdziela. Nieraz sobie myślę, jak słucham spowiedzi: przydałoby ci się draniu żebyś nosem, jak kot niegrzeczny, we własnym świństwie pogmerał. Dopierobyś zrozumiał, jak pachnie.

— Więc czemu Pan Bóg zostawia człowieka samemu sobie? Czemu zło jest takie mocne i takie widoczne, zaś dobro...

— Za dużo chciałbyś wiedzieć, synku. Zostawmy to na inny raz. Dzisiaj to ci tylko powiem: my nie wiemy, co się kryje na dnie duszy najgorszego człowieka. Pod skorupą błota nieraz strzępy błękitu. I dlatego nie wolno nam sądzić zbyt pochopnie. Co my wiemy? Może ten brat, w którego oku drzazgę widzimy tak dobrze, w gruncie rzeczy milszy Bogu, niż my z naszą belką. Opowiem ci coś. Posłuchaj. Byłem w małym mieście, krótko po święceniach. Miałem wielką gorliwość i mało praktyki. Chciałem wszystkich prędko ponawracać, szach, mach! I pociłem się, i męczyłem się, miły Boże! Raz wracam do domu, późnym wieczorem. Przyczepiła się do mnie taka jedna. Myślę ja sobie: „czekaj, bestio, zabiorę się do ciebie.'' Mówię do niej: „chodź.'' I ona, wiadomo, idzie.

Mieszkałem sam, w małym domku. A deszcz lał jak z cebra. Wchodzimy, każę jej usiąść, mówię, że dam jej herbaty i że pogadamy. Że z usług jej nie skorzystam, ale pieniądze za czas stracony dostanie. Zaśmiała się w twarz, splunęła.

— Ot głupi! a wódkę masz?

Odpowiadam jej, że wódki nie dam, ale rumu do herbaty. Żeby poczekała. Dziewczyna była młoda, ładna. Żal mi jej było. Kręciła się po pokoju, jak ptak w klatce. Raz po raz zerkała na mnie wzruszając ramionami. Poszedłem do kuchni, zapalić maszynkę. Robię ja herbatę i nagle słyszę, że ktoś gada w pokoju. Więc otwieram cichutko drzwi, podnoszę kotarę, i co widzę? W pokoju moim, nad biurkiem, wisiał duży, stary krzyż. Z domu go zabrałem. Dziewczyna mówiła doń żarliwym, urywanym szeptem. Pochwyciłem jeno niektóre słowa. „Jezusiczku — mówiła — toż ci ręce gwoździami przebili, toż cię umęczyli! Biedny ty, mileńki, sam jeden! Koronę ci dali cierniową, octem napoili. Sukienkę z ciebie zdarli... Jezusiczku, zmiłuj się nade mną grzeszną...'' Gadała więcej, wszystko w ten deseń. Cichuteńko spuściłem kotarę i po chwili, z dużym trzaskiem wróciłem do pokoju. Porwała się od stołu, spojrzała zalotnie.

— Więc co, ksiądz chciałby mnie, niby, nawrócić? Ech, takiej, jak mnie, to już nic nie pomoże! Lepiej, niech mnie ksiądz zostawi w spokoju. Dałem jej herbaty, a że byłem młody i durny, zacząłem od razu moralizować. Śmiała mi się w twarz, plotła głupstwa. Wreszcie wstała, usta ręką otarła i rzekła:

— Ot, już na mnie czas.

Spojrzała raz jeszcze, już nie zalotnie, tylko pokornie i jakby pytająco, otuliła się grubą chustką i poszła w deszcz. Nigdy jej już więcej nie spotkałem. Ale odtąd codzień za nią się modlę.

Piotr milczał chwilę, wreszcie rzucił głucho:

— Nie wiadomo co taką na złe drogi sprowadziło. Pewnie głód. Ale są ulicznice, których świat nie piętnuje, choć tysiąc razy gorsze.

— Co my wiemy? Gorszy, lepszy? Bóg wie. Nie wolno nam uogólniać, synku. Każda dusza jedyna, i bardzo cenna. Szkoda tylko, że ludzie tak rzadko pamiętają, jak ciężkim grzechem jest nienawiść. Wypominają sobie przy spowiedzi rzeczy mało ważne, choć w sercu hodują żmije. Tylko zło wolno nienawidzieć i trzeba, nigdy człowieka, bo człowiek nie jest do gruntu zły. Miłość jest tą wędką, która łowi w nim dobro.

— Są winy, których nie można przebaczyć.

— Czy w katechiźmie uczyłeś się tego, synku?

— Życie mądrzejsze niż katechizm.

— Głupiś, synku. A powiedz ty mi, czy mówisz co dzień „Ojcze Nasz''?

— Pewnie, przy pacierzu.

— Tak widać mówisz bezmyślnie. Nieraz za całą pokutę daję ja ludziom tylko te słowa: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.'' Czy uwierzysz? Wtedy dopiero zaczynają je rozumieć. By wymówić je, muszą wpierw wypluć z serca żal.

— Ale to nie od nas zależy, księże! Nie myśmy winni, jeżeli nas skrzywdzono, jeżeli w sercu nosimy żal.

— A czy Chrystus zawinił, że Go ukrzyżowano? Każdy z nas, synku, ma swój krzyż, a najcieższy ten, do którego nas przybija kochana ręka.

— Chrystus jest Bogiem i mógł sobie pozwolić na przebaczenie.

— Toż nie naszą słabością, ale Jego mocą przebaczamy naszym winowajcom.

Piotr milczał chwilę, wreszcie wybuchnął: „Ot, i odkrył Ksiądz we mnie ranę! Skrzywdzono mnie i — ja nie mogę, nie mogę przebaczyć! Nawet nie próbowałem, od sześciu lat! Ale widzę dziś, że nie mam prawa mówić „Ojcze Nasz.'' Że Bóg mnie nie odpuścił, bo i ja nie odpuściłem.

Ksiądz zamknął oczy, widać się modlił: — Nikt nie jest panem własnych uczuć, synku. Wystarczy wola przebaczenia. Na tę wolę zdobyć się możesz, zdobyć się musisz. Więcej ci powiem: przebacz, jeżeli chcesz, żeby Bóg przebaczył temu, kto ci zawinił. Niekiedy Boże przebaczenie jakby zależy od naszego. Trzymamy los naszych winowajców w ręku. Gdyż krzywda wyrządzona opancerza duszę: tylko miłość przebaczająca może przebić tę skorupę lodową. Przez ten wyłom szeroką strugą bije skrucha.

Piotr poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Jakżeż niedawno szedł Nowym Światem z sumieniem porządnego człowieka! A więc tę ranę ropiejącą sam rozjątrzał od lat. Zakrzepł w żalu, wciąż podsycanym. Nienawiść była mu świętym prawem. W uszach zabrzmiały mu słowa na tablicach pamięci ogniem zapisane: „Piotruś, przebacz! Piotruś, przebacz!'' Wzdrygnął się.

— A czy na przebaczenie nie może być za późno?

— Nigdy, synku. Zmiłowania Boże są cierpliwe.

Znów cisza. Po chwili Piotr zapyta bezdźwięcznym głosem:

— Czy Ksiądz może mnie wyspowiadać?

— Ot, synku, żal! Na Warszawę nie mam ja jurysdykcji. Przyjechałem tylko na parę dni. Ale już teraz nie będzie ci trudno. Pójdź do byle księdza. Co znaczy ksiądz? Chrystus rozgrzesza. Mnie się nie zwierzaj. Bóg jest najlepszym powiernikiem. Jeżeli przydałem ci się na coś to i dobrze. Ale powiem ci, synku, że i ty mi się przydałeś. Spotkałem cię w kościele, gdy było mi ciężko i źle. Bóg zażądał ode mnie czegoś bardzo ciężkiego i nie miałem chęci powiedzieć: „tak.'' Ale teraz już wszystko w porządku.

— Czy... czy ja zobaczę się jeszcze z księdzem?

— Nie wiem, synku, jutro wyjeżdżam. A widzisz, długo ja już nie popasam na tym świecie.

Zawahał się chwilę i kończył spokojnym głosem: — Przyjechałem tu do specjalisty. Powiedział mi dziś popołudniu, że mam raka w żołądku. Pożyję jeszcze jaki miesiąc, dwa. W sam raz dość czasu, żeby się przygotować do wielkiej podróży.

Z kątów pokoju wypełzał zmierzch, otulał ściany szarą pajęczyną. I nagle w tę ciszę brzemienną, w te słowa niedopowiedziane, wpadły dzwony, bijące na rezurekcję. Z Pragi i z Woli z Mokotowa i z Grochowa niosły się srebrem najczystszym, szybowały jaskółczym lotem. Rozhuczał się basem Święty Jan, jazgotliwie rozśpiewały Wizytki. Wszyscy Święci próbowali złapać takt całą zgrają roztańczonych dzwonów. Święty Aleksander przytakiwał z powagą, Święta Anna spierała się sopranem z Nowomiejską Panną Marią. Szły w niebo przecudne hejnały, tłumacząc sercem dzwonów serca ludzkie. Przez chwilę miasto, szturmem zdobyte, zapamiętało się w tej gędźbie podniebnej. Na strzelistych falach niosła się pieśń, przez tłumy tłumom podawana: „Wesoły nam dziś dzień nastał...''

Ziemia opowiadała niebu wieść o zmartwychwstaniu.

PIOTR KMITA

K o n i e c

---

wschodniego brzegu jeziora (dzisiejsza „Kruszwica Wieś''), a dopiero w późnym średniowieczu zaludnia się brzeg zachodni, tworząc podwaliny pod „Kruszwicę Miasto.''

Z pradziejami naszej pierwszej stolicy łączy się pewne bardzo ciekawe zagadnienie, nad którym zastanowić się godzi. Na południe-zac od od Kruszwicy, w odległości kilkunastu km. od niej, wznosi się w Kownatach (pow. słupecki) na wyspie wśród niewielkiego jeziora również grodzisko łużyckie. Co do rozmiarów mało ustępujące Rzempowskiemu. Nie wiadomo, czy wyspa jest sztuczna, czy nie, gdyż nikt dotąd zabytku tego nie badął. W obrębie wału owalnego widzimy rzecz dość niespodziewaną, mianowicie niewielkie wczesnohistoryczne grodzisko typu stożkowatego.

Posuwając się o dalszych kilkanaście km. w tym samym kierunku natrafiamy w miejscowości „Kozie Doły'' niedaleko od Słupcy na trzecie łużyckie grodzisko, wzniesione na wyspie znajdującej się w pobliżu brzegów dość dużego jeziora. O jej powstaniu nic pewnego powiedzieć nie można, zważywszy, że prehistorycy do tego miejsca jeszcze nie dotarli. Widzimy wprawdzie tu i ówdzie wystające z wody pale, mogły one jednak służyć do wzmocnienia podstawy, na której wał usypano.

Weźmy teraz pod uwagę, że do wzniesienia takich olbrzmów i do tego w tak niedogodnych warunkach terenowych potrzeba było wiele setek rąk ludzkich i kogoś mającego dość władzy, aby tego rodzaju pracę móc nakazać. Mógł to uczynić jedynie naczelnik, czy wódz jakiegoś większego zespołu plemiennego. Z tego wynika logicznie, że istniał już wtedy na tych obszarach pewien rodzaj ustroju państwowego.

Ta idea współdziałania dla dobra ogólnego, a choćby tylko dla własnej obrony przetrwała przez wieki i nabrawszy stopniowo form więcej konkretnych, umożliwiła potem pierwszym historycznym Piastom założenie podstawy pod Państwo nasze.

Dlatego też mając na myśli wymienione poprzednio zabytki i oceniając należycie ich doniosłe znaczenie, twierdzi prof. Kowaleńko zupełnie słusznie, że obszar pomiędzy Kruszwicą a środkową Wartą stał się nie przypadkowo kolebką Państwa.

Pytamy się wreszcie — cóż było powodem, że Ostrów na Gople tak ważną rolę odegrał, podczas gdy sąsiednie w zapomnienie poszły. Przyczyniło się niewątpliwie do tego jego wyjątkowo obronne położenie — nie mniej jednak i to, że był gniazdem rodzinnym piastowskiego rodu.

ZYGMUNT ZAKRZEWSKI

Janusz JASIEŃCZYK

TRZY MEDALIKI

Opowiadanie

OCZYWIŚCIE, każdy człowiek „rozsądny” powiedziałby, że to zwykły przypadek. Każdy racjonalista uśmiechnąłby się pobłażliwie i wzruszył ramionami. Ale znowu z drugiej strony istnieją inni rozsądni ludzie, ba, nawet materialiści, a zarazem uczeni, którzy twierdzą, że nic nie dzieje się przypadkowo, zwłaszcza w dziedzinie psychiki. Freud stworzył przecież całą teorię czynności przypadkowych i pomyłkowych. Jednym słowem, pozwólcie mi być trochę romantykiem. Mam do tego swoje powody. Jakie? To na razie nie należy do rzeczy. Może innym razem.

A rzecz była taka. Pewnego dnia, w oblężonym Tobruku, po bardzo ciężkich robotach ziemnych, do których zawieziono nas z odwodu na pierwszą linię, po mozolnym budowaniu pod ogniem jakichś rowów dobiegowych, czy czegoś w tym rodzaju, powróciłem do domu wyciśnięty jak cytryna i z okropnym bólem zęba.

Wiał chamsin południowy. Czułem się słaby, nieszczęśliwy — po prostu złamany. Najchętniej kazałbym się dobić krótką serią z erkaemu. Wypiłem trochę herbaty, zjadłem kawałek *beefu* i wczołgałem się do mego samotnego schronu. Ciężko padłem na legowisko z koców, ale nie mogłem zasnąć. Było jeszcze zupełnie jasno — godzina przedwieczorna. Leżąca obok posłania deska, zastępująca mi stolik nocny, a zarazem służąca do układania pasjansów, była cała zasypana obrzydliwym jasnobrązowym pyłem. Gdy uniosłem ją, aby strzepnąć piasek, nagle pod deską, tuż koło koców mego posłania błysnęło coś białego. Schyliłem się zaciekawiony. Był to srebrny medalik z Matką Boską. Z jednej strony słodka twarz Bogarodzicy — z drugiej krzyż jerozolimski. Skąd się wziął tu w moim schronie ten medalik?

Wtedy nie mogłem tego zrozumieć. Ale nagłe znalezienie świętego medalika i to właśnie w momencie krańcowego wyczerpania i zniechęcenia wydało mi się czymś niemal cudownym. Ucałowałem poświęcony kawałek srebra i postanowiłem założyć go na szyję, przyczepić do łańcuszka, na którym wisiały już inne medaliki. Przypomniałem sobie, że od jakiegoś czasu nie noszę tych dewocjonalii. Przeszkadzały mi kiedyś przy kąpieli, zdjąłem łańcuszek i schowałem do kieszeni. Teraz go odszukałem. Matka Boska Bolesna nie chciała się zmieścić na małym kółku — musiałem zdjąć zbyt duży krzyżyk jerozolimski i powiesić go nad głową, na kocu, zastępującym tapetę. Na jego miejsce założyłem znaleziony medalik.

To drobne zdarzenie wyrwało mnie z apatii — poczułem się znacznie lepiej. Miałem takie wrażenie, jak kiedyś, gdy łagodna ręka Matki słodkim dotknięciem ścierała łzy z oczu zapłakanego dziecka. Przypomniałem sobie wiele rzeczy — myśl moja poszybowała daleko po szlakach wspomnień.

Mam teraz trzy medaliki — trzy okruchy miejsc świętych, trzy wspomnienia: Częstochowa, Lourdes, Jerozolima. Nigdy ich nie zdejmuję, a czasem, gdy jestem sam, biorę je w palce i porównywam trzy wizerunki tej samej Osoby. Najsłodsza jest twarz Matki Boskiej z Lourdes, najsmutniejsza Madonna Jerozolimska.

Jak się wkrótce okazało Jej, znalezienie tu w ciasnym schronie w Tobruku nie było niczym nadzwyczajnym. Gdy byłem ostatnio w Palestynie, kupiłem sporo świętości. Po poświęceniu zostały zapakowane do małego tekturowego pudełeczka i wrzucone na dno mego plecaka. Pudełko się pogniotło, medaliki rozsypały i przy wyciąganiu jakiegoś przedmiotu jeden z nich musiał upaść pod deskę koło mego posłania. Bardzo zwykła historia.

Ale dlaczego właśnie wtedy znalazłem ten srebrny medalik, dlaczego wraz z nim wstąpiło we mnie tyle spokoju i pogody? Dlaczego już nigdy potem nie przeżywałem tak strasznej chandry.

Możecie sobie myśleć, co chcecie, szanowni racjonaliści, ateusze, materialiści. Mnie nie przeszkadzają wasze wątpliwości. Każdy ma swoją prawdę: wy macie smutną, beznadziejną, albo nie macie żadnej — ja mam radosną, pełną nadziei. Mają ją i inni.

Ma ją nasz drużynowy kpr. Tomaszewski, który w każdym schronie, na każdej pozycji wiesza sobie nad posłaniem zdobyty jeszcze w zeszłym roku w Bardii wizerunek włoskiej Madonny. Ma ją st. strz. Lisowski, właściciel słabej reprodukcji Chrystusa w cierniowej koronie, ma por. Różański, stawiający zawsze obok fotografii ramkę ze św. Tereską. W każdym prawie schronie, niezależnie od powycinanych z australijskich magazynów, uśmiechniętych twarzyczek kobiecych — jest jakiś święty obrazek. Albo krzyżyk, albo różaniec. Tacy my już jesteśmy — Polacy.

Prawie każdy kolega nosi też medalik na szyji. Zwykle jeden. Tylko ja mam trzy. To bogactwo świętości na mojej owłosionej piersi zaintrygowało kolegę Lisowskiego, gdy urządzałem przy nim generalną kąpiel w litrze słonej wody. Obiecałem mu opowiedzieć historię tych medalików.

Dzisiaj trafia się do tego doskonała okazja. Mamy obydwaj z Lisowskim służbę na mostku pepanc. Pełni się ją nocą, parami — każda para sześć godzin. Zadanie proste: kontrolować przejeżdżające wozy, a gdyby pojawiły się czołgi nieprzyjacielskie, wysadzić mostek w powietrze i wycofać się szybko do najbliższego oddziału dla zaalarmowania swoich. Oczywiście przybycie tu czołgów włoskich uważamy za bardzo wątpliwe, a Niemcy ponoć wycofali się już spod Tobruku.

Noc jest dość ciepła, księżycowa, z daleka można zobaczyć zbliżające się sylwetki wozów i ludzi. Dziś nie potrzeba pracować słuchem — wystarczy wzrok. Siedzimy z Lisowskim na mostku, odwróceni do siebie w ten sposób, że on zerka w stronę nieprzyjaciela, a ja uważam w kierunku, skąd nadejść może oficer inspekcyjny, którego groźnie i przepisowo należy zatrzymać. Na razie nikt się nie zbliża, nie widać żadnego wozu. Ciszę nocy przerywają tylko dalekie wybuchy bomb — codzienna porcja na Tobruk. Na niebie „choinka” różnobarwnych pocisków pelot — ogień zaporowy.

Aby, broń Boże, nie zasnąć, palimy ostrożnie papierosy i rozmawiamy szeptem.

— Pytałeś się Antek o moje medaliki. Mam ich trzy, ale każdy pochodzi z innego miejsca. Każdy kupiłem w innym czasie. Najstarsza jest Matka Boska Częstochowska.

— Na Jasnej Górze byłem po raz pierwszy bardzo dawno, bodajże w roku 1924. Byłem wtedy okropnie nieszczęśliwy. Kochałem się bez wzajemności — nie śmiej się — w pannie o pięć lat starszej ode mnie. Nie była nawet bardzo piękna, zaledwie przystojna, ale za to pisała śliczne wiersze i miała takie wielkie, niebieskie oczy za firankami. Później, znacznie później została doktorową, miała śliczną córeczkę i wielkiego psa — pudla. Miała oczywiście i męża — doktora, ale tego faceta to zawsze nie lubiłem. On miał kamienicę we Lwowie — czasem myślałem, że może dlatego za niego wyszła? Nie wiem co się z nią stało we wrześniu. Mniejsza z tym — dosyć, że wtedy bardzo kochałem tę pannę, ale ona nie chciała patrzeć na takiego szczeniaka. Byłbym się może nawet zastrzelił, albo zrobił coś w tym rodzaju, ale moi starzy bardzo uważali. Wysłali mnie do Zakopanego, a później na studia do Krakowa, żebym tej panny w ogóle nie widywał. A potem zdarzyło się wielkie nieszczęście w naszej rodzinie: mój starszy brat odebrał sobie życie. Przez kobietę. Wstrętna była baba — niby właściwie bardzo ładna, ale miała paskudny charakter. Ewa jej było na imię.

— Pewnie się bardzo przejęła, gdy brat się zastrzelił?

— Nie zastrzelił się, otruł się cjankiem potasu, bo nie miał rewolweru. Wcale się nie męczył. Zdążył powiedzieć tylko „Jezus, Maria.” A ona w ogóle się nie przejęła — nie była nawet na pogrzebie. Choć przedtem niby go bardzo kochała — mieli się przecież pobrać. No więc, uważasz...

— Stój! Kto jedzie?

Od włoskiej strony zbliża się jakieś auto. Lisowski zerwał się, chwycił karabin, powtarzając głośniej:

— Stój! Kto jedzie?

Jadą dalej, to pewnie Anglicy.

— Hold, who is there? — powtarzam pytanie po angielsku.

Wóz się zatrzymał. Wychyla się szofer, Australijczyk.

— Password? — pytam.

Australijski „driver” z zakłopotaniem trze czoło i mruczy jakieś przekleństwa. Właściwie nie jakieś, a dobrze nam znane, najprawdziwsze australijskie. W końcu wymienia wczorajsze hasło, pokazując na wnętrze wozu. Zaglądam: wiezie rannych. Trzeba go puścić. Wprawdzie zapomniał hasła, ale tak kląć potrafi tylko Australijczyk.

— O.K. — go on!

Wóz rusza, ostrożnie przejeżdża mostek, potem zwiększa szybkość i za chwilę znika w poświacie księżyca.

— Na czym to ja stanąłem? Aha, więc po śmierci brata moi rodzice byli bardzo zrozpaczeni, zwłaszcza Matka. Oczywiście i my, z młodszym bratem przeżywaliśmy to bardzo silnie. Ja sobie wtedy postanowiłem, że nigdy nie popełnię samobójstwa, choć bym był najbardziej nieszczęśliwy. I zrobiłem się wtedy bardzo pobożny. Modliłem się dużo za duszę brata — nawet na ulicy nieraz odmawiałem różaniec. Czytałem Ewangelię i różne takie rzeczy, często przystępowałem do Komunii — miałem nawet iść na księdza. Ale — proszę Ciebie — ta panna mnie prosiła, żebym tego nie robił, żebym się wstrzymał jeszcze rok. Ostatecznie wybiłem sobie z głowy to księżostwo i dobrze się stało. Za bardzo lubię życie świeckie, kobiety — marny byłby ze mnie pasterz. Ale w każdym razie byłem wtedy bardzo pobożny. W tym właśnie czasie byłem w Częstochowie. Czy uwierzysz, że, kiedy przy dźwięku trąb odsłaniali na Jasnej Górze cudowny obraz, zdawało mi się, że Matka Boska jest żywa, że Jej twarz się rusza, że Ona się uśmiecha. Wtedy przysiągłbym, że to widziałem. Teraz myślę, że mi się zdawało: byłem bardzo młody, nieco przewrażliwiony. Zresztą, wiesz, znasz ten nastrój: dźwięk trąb, rozmodlony, tłum, kadzidło i ten cudowny obraz odsłaniający się powoli. Jego miniaturkę mam na pierwszym moim medaliku.

— A inne?

— Drugi jest z Lourdes, a trzeci z Jerozolimy. To Mater Dolorosa — Matka Bolesna. Ten medalik znalazłem przed paru dniami w schronie, wypadł z pudełka, gdzie mam mnóstwo podobnych dla rodziny i znajomych w Polsce. Dziwne, że właśnie ten wpadł mi pod rękę. Chociaż może nie dziwne. Miałem wielkie przykrości w Palestynie. Przyjechałem w styczniu 1941, z Polski i odrazu... Czekaj, ktoś zbliża się do nas, zdaje się inspekcyjny. Wstań, puść go bliżej, a potem wrzaśniesz.

— Stój! Kto idzie? —, woła groźnie Lisowski, choć poznajemy por. Staniewicza. Niech wie, że tu służba „gra” jak należy.

— Jowisz, Dwa, Dzielna — porucznik prawidłowo wymienia kryptonimy. Ale to jeszcze nie koniec ceremonii.

— Zbliżyć się dla podania hasła! —

Dobrze znana nam postać podchodzi trzy kroki, wymienia hasło, pyta co słychać, jak leci służba. Gawędzimy chwilę i „Jowisz” odchodzi w stronę sąsiedniej pozycji. Siadamy znowu na mostku. Lisowski nawiązuje przerwany wątek:

— No gadaj, jak to było z tym drugim medalikiem?

— Przywiozłem go z Francji. Z Lourdes; wiesz, to ta cudowna miejscowość, gdzie Matka Boska ukazała się prostej dziewczynie, Bernadocie. W Pirenejach, niedaleko granicy hiszpańskiej. Byłem tam w sierpniu 1939 roku, przed samą wojną.

— Aha, to stamtąd wracałeś później przez Włochy, Jugosławię i Rumunię. Pamiętam opowiadałeś nam kiedyś.

— Tak, stamtąd. Wiozłem z sobą m. in. ten właśnie medalik. Lubię go bardzo. Z jednej strony jest Matka Boska w całej postaci, ukazująca się Bernadocie i napis „Lourdes,” a z drugiej sama twarz Marii Panny — młodziutka, bardzo ładna, ogromnie pogodna. Nie byłeś pewnie w Lourdes, więc Ci powiem, jak tam jest.

— Nie byłem. Mamy dużo czasu, więc gadaj wszystko po kolei.

— No więc słuchaj. W sierpniu 1939 r. postanowiłem pojechać do Francji na wypoczynek. Dużo gadali już, że będzie wojna, ale ja się pytałem takich wtajemniczonych gości, rozumiesz, z dwójki, i ci mi powiedzieli, że mogę śmiało jechać, bo żadnej wojny nie będzie. Oni wszystko doskonale wiedzieli, więc pojechałem. Ale już w Niemczech — jechałem oczywiście najkrótszą drogą przez Berlin i Kolonię — coś mi się jakoś nie podobało. U nas już było dawno po żniwach, a tam, bracie, dużo zbóż stało jeszcze na pniu. I wiesz kto je zbierał? Baby i starcy. Patrzę tu, patrzę tam: ani jednego młodego chłopa — same dziewczyny, dziady, kobiety. No i te szkopy w pociągu. Próbuję gadać: gdy się dowiedzą, żem Polak — żaden gęby nie otworzy: milczą, jak zamurowani. I patrzą spode łba. Dopiero gdzieś, pod Essen rozgadałem się z jakimś hitlerowcem. A ten Ci, bracie, wygarnia od razu o wojsku niemieckim, że niby takie potężne, że lotnictwo wspaniałe, a to, a tamto. Myślę sobie: straszysz, pludrze, coś się święci.

— Ale w Paryżu mi to wszystko wywietrzało. Cudowny jest Paryż. Chodziłem po ulicach, ogrodach, różnych lokalach. Louvre był już zamknięty: zabezpieczano dzieła sztuki, może wywożono. Gdzieniegdzie na ulicach i w parkach były już rowy przeciwlotnicze. „To tylko — myślałem sobie — przez ostrożność. Dobrze, że się szykują.” Potem byłem w Tours, zwiedzałem średniowieczne zamki Loary. Spotkałem sporo Anglików, Holendrów, Belgów — Niemca ani jednego. Byłem jeszcze w La Rochelle, skąd przez mały port Chapus pojechałem na wyspę D'Oleron na Atlantyku. W tej brudnej dziurze dla Francuzów — cudzoziemcy tam na ogół nie jeżdżą — spotkałem się z polskim towarzystwem, z którym umówiłem się jeszcze w Warszawie. Pojechaliśmy razem do Bordeaux, stamtąd do Biarritz. Próbowałem szczęścia w rulecie — oczywiście skromniutko, małymi stawkami. Wygrałem trochę. W kasynie tłumno, szykownie: fraki, smokingi, wieczorowe suknie. Przed kasynem setki aut. A w sali koncertowej rewia, doskonała, typowo francuska rewia. Popijam szampana, patrzę i słucham. Tyle razy podziwiana — dotychczas tylko na ekranie — Lucienne Boyer śpiewa dziś tu we własnej osobie. Śpiewa słodko, upajająco: „*Dans tes bras je me sens si petite, si petite...*” No, mówię Ci, było tam rozkosznie. W ogóle Francja jest wspaniała. Idealne miejsce do wypoczynku. I tanie — słowo daję, taniej było niż w Polsce.

— A Francuzi? Jak odnosili się do Polaków?

— Na ogół bardzo dobrze. Zwłaszcza, że byliśmy turystami: płaciliśmy. Francuzi lubią zarabiać. Ale unikali rozmów politycznych. Gdy pewnej właścicielce hotelu w Tours powiedziałem, że Polacy nie oddadzą ani centymetra „korytarza,” a jeśli będą zaatakowani, to pójdą na Berlin — była bardzo zdziwiona: zrobiła wielkie oczy. Ale czekaj, tam znowu ktoś idzie. Od Twojej strony, a Ty nie zauważyłeś. Zdaje się Polak.

Był to saper. Uciesznył się bardzo, posłyszawszy polską rozmowę. Zabłądził jeszcze wczoraj w nocy, podczas patrolu, cały dzień przeleżał za jakimś kamieniem pod ogniem i teraz, zgłodniały, wymęczony szuka swego oddziału. Którędy iść? Jak uniknąć pól minowych?

Miał chłopak szczęście: gdyby posuwał się nie drogą, lecz pustynią, choćby parę kroków na lewo lub na prawo, już dawno byłaby z niego tłusta plama. My, tu przecież obłożeni jesteśmy minami. Więcej ich niż rodzynków w wielkanocnej bábce.

Na wszelki wypadek zatrzymaliśmy faceta. Antek odprowadził go do sąsiednich karierów, aby go pożywili i przenocowali. Rano się wytłumaczy i wróci do swoich, albo — choć mało to prawdopodobne — powędruje do paki.

Potem ni stąd ni z owąd padło w pobliżu parę pocisków. Włosi mają czasem takie dziwne humory: strzelają w nocy — raz tu raz tam. Raz na lewo, raz na prawo, trochę naprzód, trochę w tył. Schowaliśmy się pod mostek przed odłamkami. W przodzie odezwały się cekaemy. Widać świetlne pociski z Fiata czy Bredy. Szczeknął niemiecki Spandau — tego drania można poznać z łatwością w największej kanonadzie: wali szybkie, urywane serie, jakby ktoś nagle wysypał z worka na żelazną podłogę od razu ze dwadzieścia kamieni lub kul stalowych. Dobra broń. Terkot karabinów nie ustaje — pewnie znowu wypad naszej kawalerii.

Ale nas to nie dotyczy. Jesteśmy zasłonięci wzgórzem: tu broń maszynowa nie sięga, a, że włoska artyleria odbębniła już swoje, więc wyłazimy na mostek i opowiadam dalej.

JANUSZ JASIEŃCZYK

(CIĄG DALSZY NASTĄPI)

Ks. W.

CZY NAPRAWDĘ CHODZI O ZBAWIENIE DUSZ?

ZGŁOSÓW, które mnie doszły, artykuł mój „*Obrządek łaciński nie zapuści nigdy korzeni w glebie rosyjskiej?*" (Nr. 6/39), większość czytelników zrozumiała dobrze. Mogę powiedzieć nawet, że cel został osiągnięty; artykulik pobudził do myślenia. Czekałem więc z kolei, jaki obrót przybierze dyskusja i co dobrego dorzucą inni. Nr. 9/42 ŻYCIA przyniósł jeden z tych spodziewanych głosów. Niestety, wypada mi od razu powiedzieć, że trzeba było mieć bielmo, przynajmniej na jednym oku, by w moim artykule wyczytać takie nonsensy, jakie usiłuje w usta moje włożyć p. Henryk Petrykowski. W wiecowych popisach sposób polemiki p. Petrykowskiego może by mu wyszedł na zdrowie, ale w artykule — niestety — szczęście nie służyło. Z moją osobą rozprawił się wprawdzie bardzo energicznie. Czym ja tam nie jestem! — Ignorantem ostatniej klasy: nie rozróżniam katolickości Kościoła od jego obrządków...; człowiekiem o złej woli ze wszystkimi niskimi przypadłościami, ukrytymi żalami, ambicjami, zazdrościami, „rasizmem liturgicznym," nawet strachem i urazem, słowem — „bakcylem," którego należy izolować, zwłaszcza, że odważa się grozić nawet Papieżowi...

Tyle co do mojej osoby. A co z moimi argumentami? — Na szczęście, pozostają nietknięte. Cały artykuł p. Petrykowskiego dałby się określić, jako jedno wielkie „mówienie ogródkami," ale w ujęciu angielskim, gdzie mówić ogródkami znaczy to samo, co bić po krzakach... Podobnie mój oponent; bił na wszystkie strony, straszył, chciał zwierza wypłoszyć, ale ten, zbyt mądry, zaszył się w gąszcz i ani rusz; nie dał się w pole wywieść krzykiem i hałasem.

* * *

Temat, który poruszyłem w poprzednim moim artykule, jest zbyt poważny i zbyt poważnie dotychczas go traktowałem, by dać się ponieść zacietrzewieniu p. Petrykowskiego. Niestety, dla podtrzymania "wyrażonej tam tezy, muszę się cofnąć do pewnych podstawowych założeń i tym samym odpowiedzieć na główniejsze zarzuty mego przeciwnika. Przykro mi, ale muszę z naciskiem podkreślić, że — dzięki Bogu! — jak dotychczas, daleki jestem od przypisywanych mi tak niezdrowych, że nawet heretyckich, ambicji — stawiania siebie wyżej nad papieża i odrzucania nauki Kościoła o równości różnych obrządków. *Powszechność Kościoła nie pokrywa się jednak z obrzędowością* (obrządkami). Nie miejsce tu na obszerny wykład i dlatego p. Petrykowski nie weźmie mi za złe, jeśli po dalsze wiadomości odeślę go do Katechizmu Katolickiego dla osób dorosłych — Piotra Kard. Gasparri'ego, Londyn, 1944, s. 52 i inne.

Nie występowałem również przeciwko dopuszczeniu obrządku wschodniego na teren Rosji; *stanąłem natomiast w obronie takiego samego prawa dla obrządku łacińskiego.* I tu właśnie dochodzimy do sedna całego wzburzenia p. Petrykowskiego. „Takie postawienie kwestii — jego zdaniem — jest i *groźne* i *niemiłe*." „Niemiłe," bo odsłania znowu ten „uraz," a więc schorzenie, które na tym właśnie punkcie nurtuje w duszy bardzo wielu Polaków". Muszę przyznać, że to wyznanie dało mi pełną satysfakcję. Mój artykuł odsłonił i uderzył w „uraz," ale tym razem tych nielicznych Polaków i liczniejszych nie-Polaków, którzy na Wschodzie nie chcą widzieć żadnej innej formy katolickiej, jak tylko bizantynizm!

W imię tych samych zasad, o które niepotrzebnie w całym artykule kruszone są kopie na rzecz obrządku wschodniego, ja żądam tego samego uznania, równouprawnienia — powiem — dla obrządku łacińskiego. Czy p. Petrykowsk znajdzie dowody na odmówienie mi tego prawa?

U podstaw nieporozumienia pomiędzy nami kryje się jeszcze inna przyczyna. Nazwę ją zasadniczą, a tak katolicką, że lepiej przestać dyskutować, gdy nie łączy nas, a raczej dzieli. Tym razem katolicką jest tylko po mojej stronie. Nie tylko bowiem katechizm „dla dorosłych," ale i ten dla najmłodszych wszem wobec i każdemu z osobna kładzie na sumienie zasadę, która jest jednocześnie streszczeniem dzieła Odkupienia: „*Poza Kościołem nie ma zbawienia!*"

W Ewangelii z zasadą tą kojarzy się apel Chrystusa o robotników na żniwo dusz... Już za życia P. Jezusa łany dojrzałe były ku żniwu, ale niestety, brakło rąk. Żniwo dusz dla nieba, to jednak główny cel przyjścia Pana Jezusa; stąd, odchodząc, losy tych dusz zlecił w ręce Kościoła i zobowiązał go do nieustawania w pracy, aż Ewangelia opowiadaną będzie wszemu stworzeniu. Kiedy indziej znów wyrzucał synom światłości, że w metodach, sposobach pracy i doborze środków — ubiegali ich sprytniejsi zazwyczaj synowie ciemności... Dla p. Petrykowskiego bez znaczenia jest fakt, że minęło już dwa tysiące lat od tej chwili, a do pełnego żniwa jeszcze daleko. Bez znaczenia też, owszem — „szkodliwe" raczej są: taktyka, chwytliwość czy pośpiech w tej sprawie. Można się było przyglądać bezczynnie tyle wieków ślamazarności katolików, czemu odmówić sobie tej przyjemności na dalsze tysiące lat?!

P. Petrykowski kończy artykuł podniosłym apelem pod moim adresem o „odpowiednie nastawienie *aktualne*." Czytelnikowi pozostawiam ocenę mojego nastawienia; w każdym razie jestem pewny, nastawienie p. Petrykowskiego w sprawie zbawienia dusz nadaje się napewno do lamusa.

Mój oponent bardzo ostro broni się przed zaliczaniem obrządków do „metody" Kościoła. Wprawdzie tą stroną zagadnienia nie zajmowałem się w poprzednim artykule, ale że autor podsuwa je bardzo błędnie, nie wdając się w filozoficzne rozróżnienia, czy i o ile obrządki nazwiemy „istotnym" znamieniem ustrojowej natury Kościoła, trzeba zauważyć, że obrządki liturgiczne należą właśnie do „metody" Kościoła. Jeśli np. na terenach Małopolski resztki obrządku ormiańskiego rozpłyną się, dajmy na to, za sto lat, czy przez to Kościół straci coś ze swojej istoty?

P. Petrykowskiemu obcym jest zapewne fakt, że ostatnio w Polsce, gdy na tereny wschodnie starano się przeszczepić obrządek wschodni, pierwszy zaczyn tworzyli bynajmniej nie ludzie urodzeni i wychowani w tym obrządku, ale właśnie księża obrządku *łacińskiego* którzy robili ze siebie wielką ofiarę, porzucali obrządek, do którego duszą całą byli przywiązani, a przyjmowali wschodni, licząc, że na tej drodze prędzej i skuteczniej Bogu przysporzą chwały, a niebu — dusz. Obrządek, *jako obrządek*, nie był wcale przedmiotem ich pożądania, a tym mniej uwielbienia. Robili dla niego ofiarę, godząc się nań, jako na lepszy *środek* trafienia do dusz... I tak też pojmowany jest każdy obrządek w Kościele Katolickim. Naczelnym zadaniem Kościoła, to zbawienie dusz, udostępnienie im łaski bożej. Pomijając stronę dogmatyczną, źródłami łaski są sakramenta św. i te pozostają zawsze i wszędzie te same, nienaruszone; wszystkie inne ceremonie, język, obrzędy, to tylko środki, w dodatku *drugorzędne* i jeszcze raz środki!!

Od czasu, gdy Wschód odpadł od Kościoła Katol., Kościół nie przestał śnić i marzyć o powrocie zbłąkanych. Oczywiście, obrzędy jakie zachowali, były kiedyś katolickimi. Lud był do nich przywiązany, sądzono więc słusznie, że formy te mogą być zachowane, byle tylko uzupełnić treść. I tak było aż po ostatnie lata. Łudzono się zawsze nadzieją na unię... i dlatego przygotowywano księży wschodniego obrządku. Był czas, że ja sam podzielałem ten pogląd i jak dałem temu wyraz w moim artykule, nie byłem daleki od przejścia na ten obrządek. Ale to trwało tylko do czasu moich odwiedzin w Rosji. Zmieniłem tam pogląd, bo przekonałem się, że dotychczasowe opinie, którymi żyliśmy, *nie odpowiadają rzeczywistości.* Zbyteczne robić tak wielkie ofiary i sztucznie hodować obrządek wschodni, bo w Rosji nie istnieją dziś te przeszkody, które kiedyś rzeczywiście mogły uniemożliwić nawrócenie tych ziem na wiarę katolicką. W moim artykule można było znaleźć nie tylko twierdzenia, ale i dowody. P. Petrykowski na odwrytkę sięgnął do innego arsenału, do Rosji carskiej. Przypomniało mi to pewną rozmowę na ten sam temat tuż po powrocie z Rosji. Rozmówca mój, gdy na zbicie moich wywodów nie znalazł żadnego przekonywującego argumentu, odwołał się do pewnego staruszka, dziś księdza katolickiego, a kiedyś popa prawosławnego i starał się przekonać mnie tym, że przecież tamten, zapytany kilkakrotnie, czy kiedykolwiek przeszedłby na katolicyzm, gdyby katolicyzm miał przyjmować w obrządku łacińskim, — przeczył energicznie. I słusznie, i ja się temu nie dziwię. Ale powtórzę, co powiedziałem wtedy: — *Skończmy z odwoływaniem się do Rosji carskiej i do wszystkich emigrantów, staruszków, popów itd.* Mogą oni być cennym dla nas przedmiotem szacunku, *ale nigdy — argumentem na korzyść* zastosowania takich czy innych środków, gdy chodzi o planowanie nawrócenia *współczesnej nam Rosji bolszewickiej!!*

Nie roszczę sobie tak wysokich ambucyj, by wywody moje wpływały na decyzje Stolicy Apost. Niemniej, uważam za wskazane stwierdzić, że *czas też skończyć z okłamywaniem Stolicy Apostolskiej.* Kto w Rosji był, kto zetknął się z tamtą rzeczywistością, temu milczeć nie wolno, bo może nas kiedyś dotknąć wyrzut ze strony Chrystusa, żeśmy nie poznali czasu nawiedzenia...

Przykro o tym mówić, ale że p. Petrykowski nie szczędzi mi i tego zarzutu, że „po cichu" zdaję się sprzyjać gwałtom na sumieniu Greko katolików w Galicji Wschodniej i łączy to ze „swoiście pojętą" przeze mnie „zachodniością" — muszę wyznać, że po cichu tym gwałtom nie sprzyjam, ale natomiast *głośno* nie nad gwałtami, *ale nad dobrowolnymi odstępstwami Greko katolików ubolewam!!* — Czy p. Petrykowski zna liczbę choćby tylko księży tego obrządku, którzy tak łapczywie przylgnęli naraz do prawosławia?... Nie mniejszych gwałtów używano w stosunku i do księży rzym.-katolickich, a mimo to jakoś o odstępstwach tu nie słyszymy. Czyżby rzeczywiście tak potępiana przez p. Petrykowskiego „*zachodniość*" miała w tym względzie coś do powiedzenia??? Rzucam tylko pytania, bo mądremu dość!

I jeszcze jedno. Pominąć tego nie mogę, bo wypowiedzi mojego oponenta graniczą ze sferą błędów niewybaczalnych. Kościół Katol. składa się z dwu elementów: Boskiego i ludzkiego, ale ten ostatni bynajmniej nie jest elementem biernym, jak chce p. Petrykowski: „*tylko i jedynie włącznikiem* działania boskiego i jego *izolatorem.*"

Nie miejsce tu na wykład, ale za to jeszcze raz pozwolę sobie zalecić p. Henrykowi Petrykowskiemu „Katechizm Katolicki dla osób dorosłych" — Piotra Kardynała Gasparri'ego.

Ks. W.

Ks. M. WOJCIECHOWSKI

POMIESZANIE POJĘĆ

W NUMERZE 9/42 ŻYCIA ukazał się polemiczny artykuł p. Henryka Petrykowskiego p.t. „*O co naprawdę chodzi*," jako odpowiedź na artykuł Ks. W. p.t. „*Obrządek łaciński nigdy nie zapuści korzeni w Rosji?*"

Autor artykułu p. H. Petrykowski poniesiony nerwowo, posunął się za daleko, imputując poglądy Ks. W. ogółowi księży polskich, którzy przeszli Rosję i obciążył ich niemałym zarzutem, niezrozumienia istoty powszechności Kościoła, a nawet dopatrzył się w tym urazu psychicznego, który jest zarzewiem kościoła narodowego.

Trzeba tu powiedzieć p. Petrykowskiemu *stop* i przypomnieć, że nawet w tak doniosłych sprawach, form myślenia logicznego łamać nie wolno.

To wygląda conajmniej na grube nieporozumienie. Jak to Autor sobie wyobraża — taki plebiscyt księży polskich na temat obrządku wschodniego w Rosji i wybór delegata, który przypadł w udziale Ks. W., autorowi artykułu o Rosji? Czy Autor uważa, że wyrządził — bezpodstawnie — wielką krzywdę polskim księżom? Czy nie będzie tu uraz psychiczny, ale Sz. Autora, a może reminiscencje przeszłości, kiedy ujawniła się w pewnych kołach zagranicznych tendencja zdyskwalifikowania w oczach świata katolickiego kleru polskiego do pracy misyjnej na terenach rosyjskich.

Autor z dużą emfazą zarzucił klerowi polskiemu, że jakoby nie życzył sobie widzieć w Rosji katolicyzmu w obrządku wschodnim i to wbrew wypowiedziom Najwyższych Pasterzy, gdyż utożsamia Kościół katolicki z obrządkiem łacińskim (i to jeszcze przez pryzmat rytuału piotrkowskiego).

Tego zarzutu, bardzo krzywdzącego księży polskich, Autor nie uzasadnił i nie uzasadni, bo uraz Jego do tychże księży rzeczowego dowodu nie wniesie. Nie wystarczy przytoczyć powiedzenia rosyjskiego konwertyty Pierlinga, że do Królestwa Bożego nie trzeba przechodzić przez Królestwo Polskie. Wiemy, jak byli nastawieni i dlaczego byli nastawieni nieprzyjaźnie i zazdrośnie Moskale do Polaków i to bez względu na to czy ci panowie byli katolikami, czy prawosławnymi.

Aby wytworzyć sobie sąd o postawie i zdolnościach kleru polskiego do pracy misyjnej na terenach rosyjskich, nie wystarczy powtarzać wypowiedzi różnych arystokratów rosyjskich, których burza dziejowa zmiotła bezpowrotnie z powierzchni ziemi, lecz należy *sine ira*, przyjrzeć się klerowi polskiemu przy samej robocie.

Wiemy z jaką troską zwracały się oczy Stolicy Apostolskiej w stronę Rosji, aby ją pozyskać do jedności z Kościołem katolickim. Apel Namiestników Chrystusowych, nawołujących świat katolicki do pracy nad nawróceniem Rosji, odbił się też żywym echem w Polsce, wśród kleru polskiego.

W Polsce praca poszła dwoma równoległymi drogami: zbadanie wschodniej myśli teologicznej i porównanie jej z katolicką teologią zachodnią oraz przygotowanie bezpośrednie do samej pracy.

Pierwszy rodzaj pracy zapoczątkowany został na wydziałach teologicznych. W ogólnym dorobku myśli teologicznej zagadnienia orientalne zajęły poważną pozycję. Wspomnę, choćby takie prace, jak ks. dra Krzywickiego *O Soborze Efeskim*, ks. dr H. Hlebowicz wydał pracę *O jedności Kościoła Chrystusowego według św. Jana Chryzostoma*, ks. dr R. Dąbrowski wydał kilka drobnych prac o teologii i tradycji wschodniej, ks. dr Pawłowski wydał dwie monumentalne prace: *O Niepokalanym Poczęciu w teologii prawosławnej* i *Idea Kościoła Chrystusowego w religiozofii rosyjskiej*, ks. dr Świetliński wydał prace po francusku *La conception oecuménique de L'Eglise dans la contemporaine pensée russe*, ks. dr Niechaj ogłosił po łacinie *De novissimis in liturgia orthodoxa*, B. Jasinowski napisał i wydał pracę — *Wschodnie chrześcijaństwo a Rosja*, piszący ten artykuł wydał pracę *O nieomylności Kościoła Chrystusowego według Chomiakowa i jego zwolenników*. Ukazało się ponadto szereg prac omawiających zagadnienia kulturalne na Wschodzie: Biskupa Godlewskiego, Kutrzeby, Tyszkiewicza i Zdziechowskiego.

A jeżeli do tego dodać wszystkie artykuły, które ukazały się na łamach naszych pism teologicznych i religiozofcznych, wszystkie prace niewydane, które jednak przepoiły kogoś ideą Chrystusową, wszystkie odczyty na zjazdach unijnych i wszystkie tygodnie modłów, będziemy mieli bardzo poważny dorobek w tym względzie. Jest to tylko część zagadnienia.

Czy Autor mógłby nam wskazać gdziekolwiek w innym kraju poważniejszą pozycję w tym względzie? Nawet w tak bogatym wydawnictwie, jak „*Orientalia Christiana*,” nie znajdujemy tak wszechstronnie opracowanej idei eklezjologicznej, jak to miało miejsce w Polsce.

A teraz gdy chodzi o stronę praktyczną zagadnienia: Wiemy o tym, że na Kresach istniały dwa większe zakłady teologiczne, nastawione na pracę wśród prawosławnych: Dom misyjny i zakład teologiczny w Albertynie, prowadzony przez O.O. Jezuitów i Seminarium Wschodnie w Dubnie, które znajdowało się pod opieką Ordynariusza Łuckiego. Ponadto istniały mniejsze zakłady zakonne o tym samym charakterze. Rok rocznie wychodziły zastępy pracowników w terenie. Dołączyli się do tego kapłani, którzy przyjmowali obrządek wschodni. Była to znowu poważna pozycja. Wytwarzała się na kresach piękna współpraca między duszpasterzami obu obrządków.

Jeżeli Autor zarzucił polskim księżom gruby nacjonalizm i uraz psychiczny w stosunku do zagadnień wschodnich, to z drugiej strony trzeba by było wydać tym księżom świadectwo niezwykłego samozaparcia się, jeżeli przy tym mogli pracować w obrządku wschodnim dla idei zjednoczenia Kościołów.

Powróćmy jeszcze raz do księży, którzy przeszli Rosję, gdyż na nich Autor artykułu skierował ostrze swego ataku.

Poglądy Autora mogłyby się rozchodzić z poglądami tych księży, gdyż poglądy Autora, to reminiscencje z czasów carskich, a spostrzeżenia Jego — to wypowiedzi różnych dygnitarzy carskich, którzy stali się już grubym anachronizmem, gdy tymczasem księża mogą wypowiadać zdania na podstawie świeżych obserwacyj.

Rosja przeszła przeszło 20 lat dechrystynizacji, a prawosławie zostało tam mocno skompromitowane w oczach ludu, który *łączy* obrządek wschodni z prawosławiem. Nasi księża spotkali się z dziwnie przyjazną postawą tamtejszego ludu, *który nie pamiętał dawnych animozyj, wytwarzanych przez sfery rządzące.* Kiedy nasi księża odsyłali rodziców, przynoszących do chrztu dzieci, do swoich prawosławnych duchownych, to następowała zawsze jedna odpowiedź.

— Ależ my im nie ufamy!

Tak. I ci ludzie, którzy szukali krzyżyków u naszych księży, którzy chcieli mieć dzieci ochrzczone przez naszych księży, którzy przychodzili w nocy, jak Nikodem, aby prosić o modlitwy za umierających, inaczej rozumowali i inaczej rozumieli istotę Kościoła, niż Autor artykułu. W ich duszach żarzyła się silna, choć bezkształtna, wiara. A ich duszami zawładnie każdy, kto pierwszy przyjdzie, bez względu na to, czy to będzie Kościół katolicki, czy to będą sekciarze. — Bolszewizm nieświadomie dokonał wielkiego dzieła, bo burząc świątynie i te wspaniałe „chramy,” co przysłaniały istotę Kościoła, zburzył z tym też przesądy, którym hołdowali dawni dygnitarze carosławni.

Było by niebezpiecznie stawiać zarzut niezrozumienia powszechności Kościoła, bo można spotkać się z odpowiedzią niezrozumienia samej natury Kościoła i pomieszania pojęć istotnych z przypadłościowymi, co właściwie jest chorobą czasu.

Nieprzyjemna byłaby dalsza dyskusja o tyle, jeżeliby Autor posługiwał się niewybrednymi wyrażeniami i zwrotami uwłaczającymi etyce pisarskiej. Przeciwnika jednak trzeba szanować.

Ks. Dr M. WOJCIECHOWSKI

Piotr ŁOMASKI

KOŚCIÓŁ NA OPOCE

„Mentez, mentez, il en restera toujours quelquechose.”
(*Voltaire*)
„A bramy piekielne nie zwyciężą go...”

ZBAWIENIA dokonanego na drzewie krzyża, Jezus Chrystus nie ograniczył do jednego tylko narodu lub jednej epoki, ale objął nim cały rodzaj ludzki. Lecz ponieważ sam swą osobistą działalność za ziemskiego życia ograniczył do kraju palestyńskiego, zakłada swój boski Kościół, aby przezeń było zbawienie wszystkim ludziom wszystkich czasów. Taka jest nauka Pisma św., wiara wszystkich czasów i dogmatyczne orzeczenie Soboru Watykańskiego.

Temu to Kościołowi Chrystus daje swe boskie prawa do całokształtu ludzkiego życia, gdyż człowiek, jak cały od Boga wyszedł, cały do Boga wraca, tak cały i całkowicie boskimi drogami kroczyć musi. Szczęśliwa to konieczność. Udziela mu dalej swej boskiej mocy czynienia dobrze ludziom, podobnie jak sam przeszedł przez to życie dobrze im czyniąc, oraz mocy zwyciężania swych nieprzyjaciół jak On również ich zwyciężył w dzień swego chwalebnego zmartwychwstania. Tak wyposażonemu w prawa i moc wydaje formalny rozkaz ewangelicznego podboju świata. „Dana mi jest wszelka władza na niebie i na ziemi, idąc tedy na cały świat nauczajcie wszystkie narody, ucząc je zachowywać wszystko, com wam przykazał. Kto was słucha, mnie słucha. Kto wami gardzi, mną gardzi, a kto gardzi mną, gardzi i tym, który mnie posłał — Ojcem Niebieskim.” A jako ostatnie wyposażenie, udzielił swym apostołom w Dzień Zielonych Świąt darów Ducha Świętego pod postaciami ognistych języków, symbolizujących właśnie w ten sposób to powszechne zbawcze posłannictwo Kościoła.

Analizując zacytowane tu słowa Chrystusa, mamy następujące punkty szczegółowe:

— Chrystus posiada wszelką władzę na niebie i na ziemi. Ma ją jako Bóg Stwórca i jako Bóg-Człowiek Odkupiciel.

— Powszechna misja Kościoła stoi w związku przyczynowym z wszechwładzą Chrystusa.

— Nasz stosunek do Boga mierzy się odtąd naszym stosunkiem do Kościoła. *Kto nie chce mieć Kościoła za matkę, nie będzie miał Boga za ojca.* (Św. Augustyn).

Lecz pytamy, co to jest Kościół? Kościół to nie jest sam papież. Jest on jego widzialną głową i zastępcą Chrystusa na ziemi, lecz sam całego Kościoła nie stanowi. Kościół to nie jest papież, biskupi i kler. Jest hierarchia Kościoła, jego nauczający organ. Pozytywnie — Kościół to papież, biskupi, kler i *wszyscy wierni razem wzięci, jako jeden organizm, jedno Ciało pozostające w żywej łączności z Jezusem Chrystusem.* Tak pojęty Kościół ma swoje prawdy, w które należy wierzyć. Ma swoje prawa, według których trzeba żyć. Ma swoich przełożonych, których trzeba słuchać. Ma swój kult religijny zewnętrzny i wewnętrzny, którym należy Boga czcić i uwielbiać, dziękować Mu za dobrodziejstwa i prosić o łaski. Tak pojęty Kościół jest Mistycznym Ciałem Chrystusa. Taką jego definicję podał On sam, gdy na drodze do Damaszku żalił się do Szawła prześladowcy: Szawle, Szawle, czemu *mnie* prześladujesz? Tu Jezus Chrystus utożsamił się ze swymi wyznawcami. W sumie więc, Kościół to Jezus Chrystus rozlany po ludzkości i stale jej się udzielający. Jest to ostateczna definicja Kościoła w ujęciu wielkiego myśliciela, kaznodziei i pisarza francuskiego — Bossuet'a.

I oto już dwa tysiące lat, jak tak pojęty Kościół poszedł z rozkazu Chrystusa na ewangeliczny podbój świata. Lecz Jezus Chrystus wczoraj i dziś tenże sam i na wieki. (Św. Paweł). Kościół utożsamiony z Chrystusem, podziela Jego przeznaczenie i koleje. Z jednej strony aż do skończenia świata będzie konał w Ogrójcu, z drugiej wszakże będzie zawsze wychodził zwycięski i triumfujący. Przez jednych, aż do wydania nań wyroku śmierci, — znienawidzony, przez drugich aż do własnej ich śmierci w jego obronie umiłowany.

Idzie Kościół w imię Chrystusowej i zbawczej dla nas prawdy, a oto zwalcza się go i prześladuje w imię kłamstwa i przez oszczerstwa. *Mentez, mentez, il en restera toujours quelquechose:* — kłamcie, kłamcie, a zawsze z tego kłamstwa coś pozostanie, taką zasadę walki z Kościołem podał patriarcha bezbożnictwa — Voltaire. I świat kłamie.

Kościół idzie do ludzi i przemawia do nich w imię Boga, a ludzie uzbroiwszy się w język kłamstwa, przemawiają doń imieniem miecza. *Ecrasez l'infame* — zgniećcie niegodziwca, oto druga zasada i drugie hasło walki, podane przez tegoż samego patriarchę bezbożnictwa Voltaire'a, który powiedział: Gdy dla ufundowania Kościoła w ludzkości Chrystus powołał aż dwunastu Apostołów, to dla jego zniszczenia wystarczy on sam — Voltaire. I już minęło półtora wieku, jak bluźnierczo oświadczył, że „za 20 lat” Bóg nie będzie miał co robić na ziemi, gdyż wszyscy ludzie od Niego się odwrócą. A oto w około 20 lat później, bo w roku 1778 umierając w rozpaczy, prosił o księdza, by pojednać się z Bogiem, tak wielki strach go ogarnął przed sądem Bożym. Jak to? — odpowiedzieli mu przyjaciele. Toś ty zapewniał nas, że Dobry Bóg już nie będzie miał co robić na ziemi, gdyż wszyscy ludzie odwrócą się od Niego, a teraz sam chcesz z Nim się pojednać? I nie dopuścili księdza. Voltaire umarł ze słowami rozpaczy: opuścili mnie ludzie i opuścił mnie Bóg. Właściwie powinien był powtórzyć za Judaszem: zgrzeszyłem, wydawszy krew niewinnego. Jest to historyczny wykład słów św. Augustyna, że nie będzie miał Boga za ojca, kto nie chce mieć Kościoła za matkę. Voltaire umarł, a „Stary Bóg żyje...”

Podobne zapewnienie światu dał również twórca germańskiego totalizmu rasy, gdy w jednym ze swych publicznych przemówień oświadczył: nalegam byście przyjęli jako fakt niezawodnie pewny, że skoro tylko dojdziemy do siły, to zniknie chrześcijaństwo, a zostanie utwierdzony kościół germański. Tak jest, kościół germański, bez papieża i bez Biblii, a Luter, gdyby mógł być między nami, udzieliłby nam swego błogosławieństwa. Więc czynnikiem decydującym nie jest tu prawda i płynące z niej prawo, ale przemoc siły. Lecz zmierzył się tu Goliat z Dawidem. Ty idziesz do mnie z włócznią i tarczą, a ja do ciebie w imię Pana zastępów, któremuś ty dziś urągał, wołał Dawid do Goliata. I odda cię Pan w ręce moje. Uderzę na Ciebie, utnę głowę twoją, a ciało twoje oddam na pożarcie, aby poznał świat, że jest Bóg w Izraelu.

I oto gubernator i kat Polski — Frank, prawdopodobnie nie chcąc i nie wiedząc, prawdę jednak powiedział na procesie Norymberskim, gdy wyznał, że Niemcy przegrali wojnę nie z błędu strategików, ani winy polityków, ani z braku ekonomistów, lecz Bóg ich ukarał, bo się od Niego odwrócili. Sprawdziły się tu słowa Dawida do Goliata. Oddał ich Pan w ręce sprawiedliwości, i zostały ujęte ich głowy, aby przekonał się świat, że mimo wszystko, jest Bóg między ludźmi. Pułkownik Andrus, komendant więzienia w Norymberdze wydał komunikat stwierdzający, że ciała Goeringa i niemieckich zbrodniarzy wojennych skazanych w Norymberdze, dnia 16 października 1946 r., w wykonaniu wyroku spalone, a popioły rozsypane w nieznanych miejscach. Oni poginęli, a „Stary Bóg żyje...” Słowa Franka są wyznaniem Juliana Apostaty, tylko w wydaniu XX wieku: Galilejczyku, zwyciężyłeś. Lecz jest to przede wszystkim historyczny wykład słów starca Symeona, że Chrystus jest położon na zbawienie, ale i na *upadek* dla wielu. Jest On bowiem tym kamieniem węgielnym, o który, gdy ktoś się potknie, upadnie, a na kogo on padnie, tego zmiażdży.

Potyka się jeszcze o Chrystusa i czerwony system totalizmu klasy, „rodem z piekła,” jak go nazwał papież Pius XI. Jest bowiem oparty na zasadzie kłamstwa, zdrady i przemocy siły.

Nie, nie, ja przecież mam w głębi
Resztę — czy złudnej otuchy?
Że miecz, jeśli fałszem hartowan,
Łomliwy się staje i kruchy.
(*J. Kasprowicz*)

Wielkim nieszczęściem jest tylko to, że „zanim prawda buty wdzieje, to kłamstwo pół miasta obleci”; że ludzie, mając świerzbiące uszy, od prawdy słuch odwracają, a zwracają się ku baśniom. A wiedzieć należy, że Kościół jest wprawdzie instytucją Bożą, *ale* w wykonaniu ludzkim. Dlatego też za to, co się dziś dzieje na świecie, jesteśmy odpowiedzialni w wielkim stopniu właśnie my, katolicy. Jest to również publiczne stwierdzenie samego Ojca świętego, papieża Piusa XII. Dlatego to do ekspiacji przeszłych win, naprawy starych błędów należy dołączyć twórczy czyn przyszłości w oparciu o zbawczą dla nas prawdę Jezusa Chrystusa w wykładzie Jego Kościoła świętego. Gdyż „gdzie bez czynów tylko rada — tam sprawie biada i radcom biada.”

PIOTR ŁOMASKI

Julian WIŚNIEWSKI

Nowe książki angielskie

O SŁOWIE WCIELONYM

AELRED Graham, mnich z Ampleforth ma już dzisiaj ustaloną markę na rynku autorów anglosaskich popularyzujących kwestie religijne i teologiczne.

Bezpośrednio przed wojną wydał swą pierwszą książkę p.t. „*The Love of God*,” w której rozpatruje problem miłości człowieka do Boga, omawiając przy tym obszernie, w świetle filozfii tomistycznej, naukę tej miłości, warunki jej istnienia, sposoby wyrażania oraz jej skutki. W czasie wojny w 1943 r. wychodzi drugie jego studium p.t. „*The final Victory*” analizujące ówczesny konflikt wszechświatowy z punktu widzenia teologii chrześcijańskiej.

Ostatnio ukazała się jego nowa praca p.t. „*The Christ of Catholicism*”*), treść jej pokrywa się mniej więcej z tym, co stanowi w teologii traktat „De Verbo Incarnato,” z tym jednak, że do teologii dogmatycznej A. Graham dołącza jeszcze świadectwo Pisma św., dotyczące osoby Chrystusa.

A. Graham jest to pisarz o rzadkim darze przystępnego tłumaczenia prawd teologicznych. Unikając łatwizny taniej popularyzacji, obywa się jednak bez nadmiaru fachowych terminów, niezrozumiałych dla świeckiego katolika. Pamiętam, jak duże wrażenie, kilka lat temu, zrobił na mnie również jego odczyt właśnie dzięki jasności określeń oraz głębokości i prostocie ujęcia poruszanego wówczas problemu. Próbkę jego stylu, oraz sposobu, w jaki podchodzi do tematu może czytelnik znaleźć w ostatnich numerach „*The Tablet*,” gdzie A. Graham drukuje serię artykułów p.t. „*The dialectic of love*.”

W książce, którą zamierzam omówić, A. Graham — jak podaje „Catholic Gazette” — zebrał owoce z Pisma świętego, Tradycji wiekowych kontrowerssji, dyskusji i rozmyślań Kościoła, aby przynieść głębsze zrozumienie tego całego zespołu tajemnic, które otaczają osobę i dzieło Chrystusa Pana. Aktualność tej książki jest tym większa, że w dzisiejszych czasach konieczność zbliżenia się do Chrystusa z czcią i miłością i uczenie się od niego sekretu zbawienia jest jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek potrzebne.

W dziele tym autor odpowiada na pytanie „Kto to jest Chrystus”?, poddając przy tym krytyce opinie nowoczesnych niekatolickich uczonych w tej materii. Po przedstawieniu głównych wydarzeń z życia Chrystusa, Graham omawia następnie osobowość Zbawiciela, oraz jego rolę, jako pośrednika między Bogiem, a ludźmi. Po charakterystyce misji Ducha Świętego oraz Matki Bożej, organizowanie związanych z Wcieleniem, mamy z kolei nakreślenie Wcielenia w jego perspektywie historycznej, przy szczególnym uwzględnieniu Kościoła. Ten ostatni przedstawiony jest na tle dyskusji o naturze Królestwa Bożego oraz na tle nauki o Mistycznym Ciele Chrystusa. Książka kończy się komentarzem Pawłowego „instaurare omnia in Christo” („wszystko ugłowić Chrystusem”).

A. Graham nazywa swą pracę *studium medytacyjne:* „a meditative study.” Jest to nic innego, jak benedyktyńskie „lectio divina,” czyli czytanie, będące równocześnie modlitwą. Tak tylko należy podchodzić do tej bardzo pożytecznej książki.

JULIAN WIŚNIEWSKI

***) „THE CHRIST OF CATHOLICISM” by Aelred Graham, Monk of Ampleforth. Longmans, Green and Co Ltd, London 1947, str. XII i 381, cena 21 sh.**

C. T. J.

STUDENCI NIOSĄ KRZYŻ

KRZYŻ... W swojej niewidzialnej, duchowej postaci przytłaczał do ziemi cierpiącą ludzkość w czasie ostatniej wojny światowej straszliwym ciężarem.

A kiedy minęła wojna, ci, co pod nim cierpieli lub obok niego stali, zatknęli znamię swego cierpienia i swego triumfu na miejscach minionych kaźni: w obozach koncentracyjnych, na polach bitew, na ulicach, gdzie rozstrzeliwano zakładników, na gruzach zburzonych miast.

I ponieśli Krzyż w pielgrzymkach setki kilometrów...

* * *

Jako jedne z pierwszych te pielgrzymki rozpoczęły się we Francji, do słynnego opactwa w Vezelay.

Ruch rozpoczęty we Francji zatacza coraz szersze kręgi. Widocznie coraz więcej ludzi rozumie, że tylko przez dobrowolnie przyjęty Krzyż można zadośćuczynić Bogu za zniewagi wyrządzane Mu przez tych, którzy wznoszą pięść przeciw Niebu, i w ten tylko sposób sprowadzić pokój na ziemię.

Dnia 20 marca 1948 r. trzydziestu studentów wyruszyło z Londynu niosąc ciężki, dębowy krzyż, 2 m. 70 cm. wysoki, a 90 cm. szeroki, w ramionach. Celem pielgrzymki było odległe o 180 km. na północ od Londynu, znane wśród katolików angielskich miejsce kultu N. M. Panny, Walsingham w Norfolk.

Pielgrzymka zgromadziła studentów z różnych wyższych uczelni angielskich: z Londynu, Oxfordu, Cambridge, Nottingham, Bristol. Jeśli chodzi o narodowość uczestników pielgrzymki, byli to przede wszystkim Anglo-sasi: Anglicy, 2 Kanadyjczyków, 1 z Guiany Brytyjskiej. Z powodu przeszkód, w które obfituje dzisiejszy świat, podzielony przez granice polityczne, celne, finansowe, itp., nie mogli wziąć udziału w pielgrzymce przedstawiciele innych narodowości, jak np. Francuzi. Był tylko 1 Irlandczyk z Uniwersytetu w Cork. Poza tym polskie środowisko studenckie na terenie W. Brytanii było reprezentowane przez czterech członków Polskiego Katolickiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego „VERITAS," trzech z Polish University College, 1 z London School of Economics.

Trzech księży: dwóch misjonarzy studiujących na Uniwersytecie Londyńskim (jeden udaje się wkrótce do Sudanu, drugi — na Borneo) i Asumpcjonista, studiujący historię na Uniwersytecie w Nottingham, — dzieliło na równi ze zwykłymi uczestnikami pielgrzymki wszystkie niewygody i trudy, dźwigając krzyż, śpiąc na ziemi, jedząc co się nadarzyło. Nie szczędzili oni wysiłków, aby pogłębić duchowo pielgrzymów, odprawiając rano Msze św., odmawiając modlitwy i intonując pieśni w czasie marszu, a jednocześnie swym niezrównanym humorem i pogodą ozłacając całą atmosferę pielgrzymki.

Pielgrzymka — według słów ulotki, wydanej przez organizatorów — „niosła Krzyż do Walsingham w czasie W. Tygodnia wynagradzając przez ten zbiorowy akt za niezliczone akty złośliwości, prześladowania i zawinionej ignorancji, popełniane przez studentów całego świata, raniących na nowo Chrystusa w Jego Ciele Mistycznym — Kościele."

W ciągu siedmiu dni uczestnicy pielgrzymki po codziennej, rannej Mszy św., wyruszali w drogę, aby wieczorem przybyć do nowej miejscowości po przemaszerowaniu od 25 do 35 km. Wieczorem pielgrzymi odmawiali kompletę w kościele, krzyż zaś pozostawał tam na noc.

Krzyż niosło trzech ludzi. Następna zmiana, idąca za nimi, odmawiała trzy dziesiątki różańca w intencji tych, którzy postępowali przed nimi z Krzyżem. Po odmówieniu 3 dziesiątków nowa trójka brała Krzyż na swe ramiona, a następna zaczynała nowe trzy dziesiątki. W ten sposób przez cały tydzień na drogach angielskich z Londynu do Walsingham trwał nieprzerwanym ciągiem różaniec. Pozostali pielgrzymi śpiewali pieśni religijne angielskie lub łacińskie (Vexilla Regis, Pangue Lingua, Stabat Mater, etc.), odmawiali litanie lub różaniec.

W przerwach sypały się żarty i toczyły się ożywione rozmowy na temat studiów, projektów, wspomnień, planów, itp.

Co godzinę następowała 10 minutowa przerwa w marszu. Zanim jednak pielgrzymi mogli zrzucić plecaki i wyprostować zmęczone nogi, odmawiali krótką modlitwę:

„O Panie Jezu, obyśmy dostąpili przywileju niesienia Twego Krzyża. Obyśmy w Nim tylko się chlubili. Oby przez Niego świat był ukrzyżowany dla nas, a my dla świata. Obyśmy nigdy nie wzdragali się przed cierpieniami, ale raczej radowali się, że zostaliśmy uznani za godnych stać się cierpiącymi członkami Twego Mistycznego Ciała. — O Chryste, żyj i cierp w każdym z nas. Amen."

Po przerwie wznawiano marsz. Obiad, składający się z sandwich'ów, popijanych wodą lub czasem piwem z pobliskiego pub'u, zjadano na świeżym powietrzu, na skraju drogi.

Na nocleg zatrzymywano się czasem w Youth Hostel, czasem w jakimś katolickim Parish Hall'u, czasem w stodole. Spanie zazwyczaj było na podłodze, przy czym dwa koce, które każdy pielgrzym musiał zabrać ze sobą, oddawały nieocenione usługi.

* * *

Od początku do końca pielgrzymka odbywała się w nastroju radości, pogody i zadowolenia. Uczestnicy poczytywali sobie za zaszczyt, że mogli wziąć w niej udział.

Nie była to impreza lekka. Już po pierwszym dniu marszu po twardych drogach angielskich obolałe, pokryte pęcherzami nogi odmawiały posłuszeństwa. Szereg osób nie mogło wyruszyć w drogę dnia następnego. Inni znaleźli się w podobnym położeniu w ciągu dni następnych. Sytuację ratował wtedy auto-stop lub kolej i pielgrzym po wypoczynku wznawiał marsz w nowym etapie drogi.

Polacy trzymali się dzielnie, jedyny środek lokomocji, którym się posługiwali były zaprawione do marszów wytrwałe polskie nogi.

W miarę trwania pielgrzymki topniały dni i mile, jakie pozostały jeszcze do Walsingham. Ostatni dzień był najcięższy. Z wydatną pomocą w tym dniu przyszło nam 8 polskich żołnierzy z *Bodney Camp* (w tym dwóch oficerów), gdzie znajduje się ośrodek gimnazjalny i licealny P.K.P.R. Przez blisko 35 km. od Swaffham, aż do Walsingham, ci nasi koledzy wzięli udział w pielgrzymce, pomagając nam w niesieniu Krzyża.

Ostatnią milę drogi, zgodnie z odwiecznym zwyczajem, pielgrzymi odbywają boso. Przy Slipper Chappel (od slipper — pantofel), katolickim kościółku z XIV w., który po przedziwnych kolejach losu niedawno trafił znowu w ręce katolickie, zdjęliśmy obuwie. Ten ostatni odcinek pielgrzymka odbyła w milczeniu, rozważając czternaście stacji Męki Pańskiej. Wśród tej mili mały kawałek ostrej, żużlowatej powierzchni był najbardziej uciążliwym w całej pielgrzymce. Mimo to, a może właśnie dlatego, ogarnął nas wtedy trudny do ujęcia w słowa podniosły nastrój religijny. Rozważanie Męki Pana Jezusa, świadomość, że zbliżamy się do miejsca uświęconego przez N. M. Pannę i fakt, że przyszliśmy tutaj dla Chrystusa i dla Jego Matki i idziemy tą niewygodną drogą, dawały nam radość i pokój.

* * *

W pierwszy dzień Wielkanocy nasz Krzyż został umieszczony na gruncie zakupionym pod budowę nowego kościoła OO. Franciszkanów w Walsingham. Trzynaście innych krzyżów — razem z naszym czternaście, t.j. tyle, ile jest stacji Męki Pańskiej — przybędzie z różnych miast Anglii, niesionych w pochodzie pielgrzymów różnych stanów. Za rok zaś wyruszy z Londynu nowa pielgrzymka studencka z Krzyżem. A mówi się już o urządzeniu swoistego „zjazdu" pielgrzymek studenckich z całej Anglii na oznaczony dzień.

C. T. J.

Zdarzenia - fakty - uwagi

ROZMOWA Z KOMUNISTĄ

POSEŁ z Labour Party, Mr. Blackburn, miał sposobność rozmawiać w Grecji z 23-letnim Konstantym Dimitriou, partyzantem komunistycznej armii Markosa, wziętym do niewoli przez wojska rządowe. Dimitriou na rozkaz swego „kapitana" zarżnął własnoręcznie 4 mężczyzn i 2 kobiety i odciął im głowy, które potem obnoszono po całej wsi na posrach, gdyż zamordowani udzielali wiadomości o powstańcach wojskom rządowym.

Zapytany, dlaczego walczy z rządem, wyjaśnił, że „rząd jest faszystowski," to znaczy: nie ma w nim komunistów. O tym jednak, że komuniści odmówili wzięcia w nim udziału Dimitriou nie wie, gdyż tego mu nie powiedzieli jego „komisarze."

Brytyjczyk zadał mu pytanie: czy jego, socjalistycznego posła też uważa za faszystę i czy zamordowałby go i jego żonę? — Komunista odpowiada: oczywiście, tak, gdyby taki rozkaz otrzymał od swego „kapitana."

Dimitriou powiedział dalej, że wierzy w Chrystusa i w istnienie piekła. A gdy pada pytanie, dlaczego więc jest komunistą? — daje taką odpowiedź:

— „Bo komisarze powiedzieli, że chrześcijaństwo i komunizm to jedno i to samo; bo i jedni i drudzy chcą miłości między sobą."

Dimitriou przyznaje, że wie, iż za swe zbrodnie musi odpokutować, a jednak nie umie sobie poradzić z odpowiedzią na pytanie: czy nie uważa, że komunizm „wiedzie go prosto do piekła?"...

Armie komunistyczne na całym świecie składają się z bardzo wielu takich, jak ów młodociany jeniec, żołnierzy. O tym należy pamiętać. Bo komunizm miesza języki i usuwa możność porozumienia.

OCZYMA DZIEWIĘCIOLATKÓW

W JEDNEJ z klas, szkoły powszechnej, we Frankfurcie nad Menem, zapytano 46 chłopców, w wieku lat dziewięciu, czym chcieliby kiedyś być. 9 podało, że elektrotechnikami, bo „elektrotechnik może jeść wszystko, co zechce," 5 wybrało zawód cukiernika i piekarza, jeden rzeźnika. Przyszli piekarze podali, że to zajęcie jest „cieplejsze" niż praca rzeźnika. 6 chłopców podało, że chcą być kucharzami, jeden dodał, że „tylko u Amerykanów", dodając: „Mój wujek pracuje u nich w kuchni i, mój Boże, ten może się najeść!..." Inny chce być ogrodnikiem, ponieważ „ogrodnik może jeść wszystkie jarzyny i owoce, jakie tylko zechce."

Dwu wybrało stolarstwo, gdyż nie mają w domu mebli, jeden zaś szczerze przyznał, że chętnie byłby kolejarzem, „bo ci mogą ściągać paczki żywnościowe." Jeden chce być zawodowym piłkarzem, ale nie ma butów do gry. Jednego tylko nęcą podróże i chciałby tresować zwierzęta, aby jeździć z nimi wiele po świecie.

Ani jeden nie wybrał żołnierki, za wiele widzieli inwalidów i kalek bez rąk i nóg. Ani jeden też nie wybrał tak upragnionego dawniej zawodu strażaka, lub policjanta.

Wynik tej dziecinnej ankiety daje dość plastyczny obraz rzeczywistości powojennych Niemiec oglądanych oczami już myślącego dziecka.

Z WYSOKOŚCI TORTU

DZIAŁO się to w pewnej fabryce w Czechosłowacji. Pewnego dnia w gwarnej fabrycznej kantynie zapanowało kłopotliwe milczenie, gdy na stole pojawiły się torciki w kształcie sowieckiej gwiazdy, a na nich młot i sierp, wykonane z czerwonego dżemu. Nikt nie wiedział, co za uroczystość skłoniła zarząd kantyny do takiego wystąpienia.

Na drugi dzień dziennik „Pravo Lidu" zapytał: „Czy ten kuchenny hołd, złożony czechosłowacko-sowieckiemu przymierzu był naprawdę w dobrym guście?"

Po kilku dniach organ socjalnych demokratów „Pravo Lidu" doczekał się czystki w swym składzie redakcyjnym.

Bez tortowych komentarzy, panowie demokraci.!

SOWIECKA EMIGRACJA

BRZMI to zestawienie jakoś mało prawdopodobnie, ale jednak ludzie sowieccy emigrują. Oczywiście, bez pomocy państwa, a raczej z obawy przed własnymi władzami. „New York Herald Tribune" podaje interesujące szczegóły. Z sowieckiej strefy Niemiec uciekają więc na zachód urzędnicy, oficerowie i ich rodziny. Jak dotychczas do zachodnich stref przesiąknęło około 5 tysięcy osób. W strefie amerykańskiej, gdzie władze mają z bolszewikami wzajemny układ o wydawaniu zbiegów, wielu z nich musiało być wydanych. Ale w strefie brytyjskiej żadnej umowy nie ma, a o ustępstwach na rzecz zbiegów po prostu się nie wspomina.

Władze sowieckie postanowiły ten potok zahamować, a więc nakazano skoszarowanie wojsk i urzędników sowieckich w Niemczech. Ale zarówno urzędnicy, jak i wojskowi uciekają nawet z Karlowych Warów, dokąd zjeżdżają na wypoczynek z rodzinami. Drugim sposobem to zabieranie rodzin zbiegów jako zakładników i wysyłanie ich w głąb Rosji.

Większość uciekinierów podaje się za DP, pochodzących z terenów Polski zabranych przez Rosję.

POPULARNOŚĆ

NIEWYCZERPANY w pomysłach instytut badania opinii publicznej Gallupa postawił ostatnio nowe pytanie: „z którą postacią historyczną chciał(a) by Pan(i) porozmawiać?" To pytanie postawione w Anglii daje miarę popularności pewnych ludzi w tym kraju, a także dobrze określa krąg zainteresowań przeciętnego Anglika.

Najwięcej głosów zdobył Churchill, co jest na ogół zrozumiałe. Ale na drugim miejscu znajdujemy królowę Wiktorię, co prawda wybrały ją same kobiety. Na następnym i trzecim miejscu znalazł się admirał Nelson, zwycięsca spod Trafalgaru. Natomiast jest zastanawiające, że drugi obok Nelsona bohater Anglików, a mianowicie „żelazny książę," Wellington, zwycięsca Napoleona pod Waterloo, nie znalazł się na żadnym z pierwszych 20 miejsc. Widocznie romantyczny marynarz Nelson cieszy się większym uznaniem. Ponadto trzeba pamiętać, że o Nelsonie były filmy. Na czwartym miejscu można było umieścić królów Henryka VIII, a potem Henryka V, obaj znani szerszej publiczności również z filmów. Po nich znajdowali się na liście, na dalszych miejscach, żyjący członkowie rodziny królewskiej z ks. Elżbietą na czele.

W pierwszej dwudziestce, jako jedyny poeta, znalazł się Szekspir, Dickens miał miejsce 23-cie, Bernard Shaw 27-e. Spośród naukowców najpopularniejsi są Darwin i Marconi.

ZASŁUGI NIE RDZEWIEJĄ

LICZĄCY sobie 103 lat i 6 miesięcy Francuz, Wiktor Joanet, dowiedział się, że otrzymał medal wojskowy za „wielką odwagę i śmiałość, okazane w czasie oblężenia twierdzy Metz." Zarówno Joanet, jak i jego 92-letnia żona byli zaskoczeni i mocno zdziwieni niespodziewanym zaszczytem, tym bardziej, że owe przewagi wojenne pana Franciszka miały miejsce w czasie wojny francusko-pruskiej, w roku Pańskim 1870-ym. Ale prawdziwa odwaga zawsze znajdzie należytą ocenę w wojennej epoce dziejów. I tak jakiś historyk studiujący historię tej wojny wygrzebał w dokumentach wzmiankę o bohaterskim zachowaniu się Joaneta i postanowił wyszukać jego rodzinę. Kiedy się ku wielkiemu zdumieniu przekonał, że jego bohater jeszcze żyje, uznał, że trzeba poruszyć władze wojskowe. A te wobec jawnego faktu, że bohater widocznie czeka wciąż na uznanie, postanowiły nagrodzić tak wielką wytrwałość bohatera.

Wielkanoc w Aberporth

Chciałbym, by czytelnicy „Życia" dowiedzieli się, jak pięknie przeżyliśmy święta Wielkiejnocy. Mniej narzekaliby ludzie na nudę i pustkę życia obozowego, gdyby w obozie chcieli sobie trochę Ojczyzny stworzyć, pielęgnując nasze piękne tradycje kościelne.

W Wielki Piątek i Sobotę odbyła się nieustająca adoracja Najświętszego Sakramentu u Grobu w naszej kaplicy-baraku. Kaplica ta dzięki artyzmowi i pracy por. Rozmanita zmieniła się w zakątek Wilna. P. Rozmanit zaprojektował i sam wykonał Grób i Ostrą Bramę. I Grób i kaplica były przesłonięte białym woalem, głęboko symboliczny artyzm; wszyscy rozumieliśmy tę mgłę oddalenia, co podobna śmierci okryła nasze miasto. Na rezurekcję artysta nasz zdjął woal, a od Grobu do Ostrej Bramy rzucił tryumfalny biało-czerwony sztandar. I znowu wszyscy zrozumieliśmy wymowę symbolu: Zmartwychwstały Chrystus wskrzesi Ostrą Bramę.

To też w czasie uroczystej procesji rezurekcyjnej, gdyśmy zaśpiewali „Alleluja" — w każdym sercu płonęła wiara i pewność, że bliski jest dzień zmiłowania Bożego. A gdy nasz kapelan ks. Charzewski zaintonował „Te Deum laudamus," zdawało nam się, że klęczymy w Ostrobramskiej uliczce u stóp naszej Królowej.

Dzięki gromadce ludzi dobrej woli przeżyliśmy wzniosłe i piękne dni. *Z.B.*

W. BRYTANIA

„KOMUNIZM PRZYNOSI ROBOTNIKOM NĘDZĘ I NIEWOLĘ'

Kard. Griffin, przemawiając na zebraniu Stowarzyszenia Katolickich Członków Trade Unionów (Association of Catholic Trade Unionists) w Londynie oświadczył, że nareszcie w W. Brytanii warstwy robotnicze zaczynają rozumieć, że komunizm jest szkodliwy dla samych robotników. Przynosi on bowiem zamiast porządku, dobrobytu i obfitości, tylko nędzę, głód, przemoc, brak bezpieczeństwa oraz niewolnictwo połączone z więzieniem robotami przymusowymi, deportacją i śmiercią. Zamiast solidarności, miłosierdzia i braterskiej miłości ko munizm sieje ziarna nienawiści i społecznego niepokoju i zmierza do sprowadzenia mas robotniczych, które tyranizuje, do milczenia i bezwładu.

„Pragnę jasno stwierdzić — mówił w dalszym ciągu kard. Griffin — że stanowisko katolików wobec komunizmu nie może ograniczać się tylko do jego potępienia. Stanowisko to musi być pozytywne. Musimy starać się, aby warunki, w których może rozwijać się komunizm, nie istniały w naszych warsztatach pracy, fabrykach i w stosunkach między robotnikami."

„Powinniśmy dążyć do tego, aby podstawy naszego codziennego życia były oparte na sprawiedliwości społecznej i na miłosierdziu i aby warunki pracy zapewniały robotnikowi godziwy zarobek i odpowiednie utrzymanie jego rodziny."

Kurs dla działaczy katolickich

Instytut Polski Akcji Katolickiej na Wielką Brytanię, 51, Eaton Place, London, S.W.1. — organizuje w siedzibie Polskiej Misji Katolickiej w Londynie (2, Devonia Rd., N.1., st. kol. podz. Angel) w dniach: 29, 30 kwietnia i 1 maja b.r. trzydniowy kurs dla działaczy(ek) katolickich.

Program przewiduje 4 konferencje i 12 wykładów po 30 minut oraz dyskusje po wykładach. Przewidywane tematy:

NA KONFERENCJACH:
1) O odpowiedzialności katolika za świat
2) Życie wewnętrzne (misja apostolska)
3) Cnoty (życie chrześcijańskie)
4) Modlitwa w życiu chrześcijańskim

NA WYKŁADACH:
1) Dogmatyczne podstawy Akcji Katolickiej
2) Akcja Katolicka w społeczności Kościoła
3) Boskie pośrednictwo Kościoła
4) Typy rozwojowe Akcji Katolickiej
5) Metody i wymogi Akcji Katolickiej
6) Aktualność katolicyzmu na tle sytuacji obecnej
7) Apostolstwo Akcji Katolickiej
8) Technika Apostolstwa
9) Analiza terenu pracy
10) Analiza środowiska angielskiego
11) Nasza organizacja
12) O typ przodownika.

Kurs jest bezpłatny i obliczony na około 50 uczestników(czek).

Każdy dzień rozpoczyna Msza św. o godz 9.30 w kościele Misji. Program całodzienny włącznie z przerwami i posiłkami (śniadanie i obiad) — do godziny 18.00. Cena posiłków 1/- i 2/6.

Zakwaterowanie będzie na żądanie słuchacza przygotowane od dnia 28 kwiet. wieczorem do rana dn. 2 maja w cenie około 2/-za dobę w jednym z hosteli Londynu.

Instytut przewiduje możliwość pokrycia kosztów:wyżywienia (śniadania i obiady przez 3 dni) i zakwaterowania przez 4 noce, oraz w pewnej ilości wypadków — przejazdów kolejowych, kl. 3-ą, dla tych uczestników, którym ten koszt mógł by przeszkodzić we wzięciu udziału w kursie.

Wobec ograniczonej liczby miejsc na kursie, należy jak najwcześniej kierować zgłoszenia na piśmie do Instytutu P.A.K. nie później jednak, jak w nieprzekraczalnym terminie do 20 kwietnia b. r.

W zgłoszeniu należy podać:
1) Dane personalne i adres kandydata,
2) Kto zgłasza (organizacja, grupa, ksiądz, czy indywidualnie),
3) Czy kandydat lub organizacja zgłaszająca poniosą koszty dojazdu, mieszkania i wyżywienia, czy też ma to zrobić Instytut (podać co, i cenę biletu kolejowego),
4) Czy będzie mieszkał prywatnie, czy też zamawia nocleg za opłatą.
5) Czy będzie korzystał z posiłków na kursie (śniadanie —obiad) za opłatą.

Kandydat może uważać się za przyjętego dopiero po otrzymaniu pisemnego potwierdzenia ze strony IPAK wraz ze szczegółowymi informacjami. Wszystkie zgłoszenia będą załatwione przez IPAK do dnia 22 b. m.

Celem kursu jest przygotowanie czynnych katolików-Polaków do właściwego realizowania na terenie emigracji założeń Akcji Katolickiej w myśl nakazów Stolicy Apostolskiej.

Oddźwięk jaki ta praca daje w terenie jest dowodem, że nakazy te pokrywają się z wewnętrznym przekonaniem większości katolików polskich, przebywających na czasowym wygnaniu poza granicami swojego Kraju. Chodzi tylko o czyn, o przełamanie stanu bierności, o rzeczywiste odrodzenie katolickie. To jest naszym celem.

INSTYTUT POLSKI AKCJI KATOLICKIEJ NA WIELKĄ BRYTANIĘ

Listy do Redakcji

Dwie żelazne kurtyny

Szanowny Panie Redaktorze!

Oto fragment listu z Polski:

„Między innymi cieszy nas okoliczność, że młodzież uniwersytecka bardzo garnie się do Boga. Oto dziś (22.II.1948 r.), gdy piszę — w naszym kościele zakończenie rekolekcyj studenckich. Biorą udział studenci i studentki z obydwóch uniwersytetów. Dla studentów w kościele naszym; prowadził je Ks. Biskup Goliński — dla studentek w auli Ks. Kirewicz T.J., duszpasterz akademicki. I aula i kościół prawie po brzegi wypełnione. Nawet, Drogi Panie..., porównania nie ma, co do ilości, co do nastroju i powagi z czasami przedwojennymi. Dobry to wielce znak. Aż dusza rośnie! Oczywiście życie polskie nie składa się niestety z tych tylko jasnych stron — są ponure i tragiczne, te ciemne. Ale zwycięży światłość! I Pan i ja — nieprawdaż? — jesteśmy gorąco i stanowczo pewni tego — jak tego, że po nocy — następuje dzień, a po burzy im większej — tym większa pogoda!"

List przyszdł do Polaka w Belgii. W Brukseli rekolekcje dla Polaków skończyły się w niedzielę, 21. marca. Spośród tysięcznej kolonii Polaków brukselskich odprawiło je kilkunastu... W przeddzień zakończenia odbyła się w „klubie polskim" zabawa taneczna. Zresztą jak w każdą sobotę... Lały się trunki, płynął szampan, piękne panie rozbawiała tombola... Tam było uczestników znacznie więcej... grubo więcej. Bo czyż „walka o niepodległość" ma być zaraz smutkiem? Czy ma się odbywać w mrokach przesądów?... (tylko jakich, czyżby nie burżuazyjnych?...). Przecież na świecie tak... wesoło. A mnie się wydaje, że i pusto na tyle, by cienką warstewkę przykrywającą nihilizm ślepców przerwał z łatwością strumień bezbożnictwa, właśnie z tej strony kurtyny..., bezbożnictwa, jako awangardy komunizmu.

Są dwie żelazne kurtyny. Ta druga przebiega przez ludzkie serca i umysły.

S. B.

(Adres i nazwisko znane Redakcji)

FUNDUSZ PRASOWY ŻYCIA

Edinburgh, 15.3.1948.

Szanowna Administracjo!

W związku z odezwą, zamieszczoną w numerze 11/44 tygodnika ŻYCIE, z dnia 14.3.1948, załączam prenumeratę półroczną, za czas od 1.4.1948 do do 30.9.1948 wraz z wyrównaniem za miesiąc marzec — razem okrągło 20 sh., które przesyłam „Postal Orderem."

Równocześnie pragnąc gorąco dalszego utrzymania tak niezbędnego tygodnika jak ŻYCIE, załączam Money Order na pięć funtów ster., jako ofiarę na „Fundusz Prasowy ŻYCIA"— z prośbą o niewymienienie mego nazwiska, /przy ewentualnym ogłoszeniu w ŻYCIU listy imiennej ofiarodawców.

Z serdecznymi życzeniami powodzenia z zbożnej pracy

X. Y.

Nazwisko i adres znane Redakcji.

Prenumerata miesięczna: 3 sh. 6 d., kwartalna: 10 sh. 6 d. Ceny ogłoszeń: Tekstowe: 1 cal przez 1 łam — £ 2 sh. 10. Poszukiwanie pracy: do 20 słów — 5 sh. 6 d. Za zamieszczanie dwukrotnie 8 sh. za trzykrotnie — 10 sh. 6 d. Za każdych następnych 5 słów — 1 sh., zamieszczone dwukrotnie — 2 sh., trzykrotnie — 2 sh. 6 d. Różne: jedno słowo 9 d. Rękopisów nie zwraca się. Adres Redakcji: 21, Earls Court Square, LONDON, S.W.5. Tel. FLA 1509. Adres Administracji: 12, Praed Mews, W.2. Tel.: PADdington 9734.

Redakcja przyjmuje tylko w poniedziałki i piątki — od godziny 11 do 12.

Published by Catholic Publishing Committee. Printed by M. Caplin and Co Press Ltd., 15, Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey.